

75/3

JULIUSZ KADEN
PIŁSUDCZYCY



OŚWIĘCIM-1915-

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

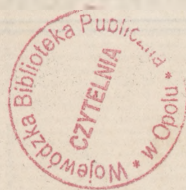
PIŁSUDCZYCY

Jozefa Berggrüna



O Ś W I Ę C I M · 1 9 1 5

NAKŁADEM NACZELN. KOMITETU NARODOWEGO



CM 313717

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE • W LIPCU 1915 ROKU

Wpisano do Księgi Akcesji



JÓZEF PIŁSUDSKI.

*Szefowi Sztabu I. Brygady
Podpułkownikowi Kazimierzowi
Sosnkowskiemu*

poświęca

Autor



SZEF SZTABU I. BRYGADY PODPUŁKOWNIK KAZIMIERZ SOSNKOWSKI.

JÓZEF PIŁSUDSKI.

Orzeł — w lochu piwnicznym, na poddaszu i na ulicy.... Ptak herbu świetnego — wyrzucony z tła pysznych amarantów na podwórze....

Tyle srogości w tem, ile grozy w łomocie skrzydeł pośród ciasnych mroków.... Tyle w tem bujnego gwałtu, ile rozpędu niezbytých lotów w zimnej klatce poddasza.... Tyle w tem wściekłości i zemsty, ile może być w sercu człowieka, którego drogę przemieniono — w koryto hańby....

Bo czemuż innem uczyniono ulice miast Królestwa?! Jeśli więc kto chce rozumieć Piłsudskiego z czasów wcześniejszych, niech stara się widzieć orła w piwnicy, na poddaszu, orła wśród żelaznych szkieletów fabryki.... Orła — z pokrwawionemi skrzydłami, który na skrzydła te ołowiany trud tysięcy podnieść chce i trudowi zwrócić kradzioną godność, trudowi temu dać Imię i Cześć.

I wszystek gniew, który towarzyszy wielkościom Imienia i wszystkie surowe glorie, które muszą towarzyszyć Czi Narodu...

Trudowi temu zwrócić kradzioną godność, dać imię i cześć.... Właściwie w tym jednym zdaniu możnaby uchwycić całą podwalinę działalności Piłsudskiego z tego okresu.... Budować narodowość w kolisku pracy najcięższej, by z niej najtwardszą cześć wydobyć....

Było to rzeczą niełatwą, jeśli się przypomni, że to, co gdzieindziej przekwitało już w formach gospodarki ludów (te czy inne formy państwowe), to u nas było jeszcze niedościgłym marzeniem.... Przekwit ten stwarzał ideologię niecierpliwą, ogromną i nieubłaganą, która wedle pewnych postulatów nowej nauki wcześniej czy później miała zatryumfować....

Na mocy tej ideologii ludy Europy dokonałyby wspaniałego, dobrowolnego przewyciężenia *różnic* wzajemnych — do którego mybyśmy przystąpili — nic nie przewyciężywszy....

Socjalizm był ową falą sprawiedliwości, któraby nas z innymi zdrowymi narodami w wieczność rozwoju poniosła — jako kaleki.... Więc, aby Polskość nie stała się znakiem opóźnienia, trzeba było odrazu i szczerze przyjąć socjalizm i jak chlebem obdzielać nim rzesze. Ale, by socjalizm nie był w Polsce kalectwem, trzeba było w dojrzałych jego poglądach zastrzedz miejsce świeżej młodości, miejsce, w którym dojrzałaby prawomocna *polskość* trudu....

Rzecz to prosta, choć może w trudnej wyrażona formie... Rzecz niesłychanie trudna do przeprowadzenia w Polsce i w Europie i na całym świecie....

Rozumiał Piłsudski jak mało kto w Polsce, że hasła, to tylko pewne formy postępowania, że żaden z ich kowali świętości ich nie uznaje. Rozumiał, duszę mając ponad wszelki wyraz przytomną — zbrodnię ślepoty haseł i honoru pozorów....

Rozumiał zwłaszcza tę manię honoru w Polsce, który pozwala rzucić z bark najcięższy obowiązek. Rozumiejąc to wszystko, zaczął poprostu stwarzać tę ideologię Ojczyzny, która z potrzeby i praw pracy wyrasta — i rozpętał przeciw sobie to wszystko, co było pod czarem panującej ślepoty, czy zaciętrzewienia, czy przesądu.... Swoi wyrzucali mu, że jest kosmopolitą, obcy, że narodowcem, patryoci, że socjalistą, socjaliści, że patryotą.... Zarzucali mu właściwie wszyscy wszystko o tyle słusznie, że czuli w Piłsudskim, jako w ogromnej potencji, która wszystko, co polskie w sobie вмieszcza — niebezpieczeństwo prawdy....

Jego socjalizm nie zawsze wygadzał socjalistom, jego narodowość zbyt się wymagającą widziała narodowcom, i rzecz można, wszystkie hasła grały w tym wielkim człowieku, stopione w jedno rozumienie Polski....

Tu sięgamy najgłębszej tajemnicy Brygadiera, której nie da się wyjaśnić ani rodowodami, ani pochodzeniem ze starej szlacheckiej rodziny, ani odblaskiem wspomnień z 63 r., ani żadnymi wpływami. Jak się ma talent słowa, myśli, muzyki, barwy — tak się ma i ten najsłodszy talent, jaki wydestylować się może z soków ziemi i oddechu niebiosów — talent rozumienia Ojczyzny.... Talent ów, gdy Polska jest jego treścią, wymaga cnót osobliwych. Należy mieć upór i cierpliwość przerażającą.... Należy być ustawicznym fakiem Rzeczywistości i w splocie jej najcodzienniejszym nie widzieć jej, nie pamiętać, nie znać — tak, jak to umie Piłsudski — to znów najcodzienniejszymi szczegółami mającą się stać rzeczywistość uprzedzać i istotę jej wywoływać z nicości.... Powiedziałem wyżej — niebezpieczeństwo prawdy....

Widać je było już dobitnie u Piłsudskiego-mówcy....

Pamiętam go, gdy kiedyś na zjeździe młodzieży forsował sprawę tajności posiedzeń wojskowych. Doprawdy, człowiek ten sprawiał wówczas wrażenie znakomitego szermierza, walczącego z bańkami mydłanemi.... Ze ślicznymi bańkami, których cały rój wypuścili błyskotliwi mówcy.... Jakąż kolosalną cierpliwość wykazał wtedy, jaki upór w wierze w zdrowy rozum słuchaczy.... Nie można powiedzieć, iż zwalczał argumenty. One same nikły przed nim, jak śnieg topnieje w słońcu.... Piłsudski, jako mówca, ma jeden wielki dar — sama jego obecność krępuje komedyantów.... Widziałem go, jak przemawiał na kongresie partii robotniczej w Krakowie. Szumne, gwałtowne brawo zgasło nagle, gdy się ukazał.... Był wtedy żywym wyrzutem pokoju Polski — bo człowiek ten miał tragiczne szczęście być srogim wyrzutem pokoju Ojczyzny — i czuło się w sali obawę.... Obawę tłumu przed kimś, kto w imię najwyższego prawa kiedyś rozkaże....

Niebezpieczeństwo prawdy.... I po raz trzeci, gdyśmy się zebrali, jakbyśmy wczoraj wrócili z dziadów dalekiego po-

stoju — wycieńczeni, skrwawieni po Łowczówku, po którym każdemu kto przetrwał, kilka lat życia przybyło.... Czy w nas było znać w Lipnicy, gdyśmy tam stali w ten nijaki, siwy dzień w opuszczonej szkole zebrani na zgromadzenie oficerskie — jakąś butę, czy było znać zaśmiałe poczucie zasługi, czy Komendant uprzedzał jakiś nasz dorobek zbyt głośnej sławy — dość, że się wdarł w serca nasze kilku słowy tak, — iżeśmy w jednej chwili pojęli.... Łowczówki mogą być dniem codziennym i to jest nic, jeśli Sprawa żąda więcej.... Mówił wtedy do nas gorzkie słowa człowiek, który wielką skalą swych czynów tak często musiał cierpieć.... — „My żołnierze.... Choćby to miało kosztować hekatombę....“ Ileż to słowo ma wagi w ustach Dowódcy czulego na życie ludzkie, jak najwyrachowańszy skąpiec na złoto.... W ustach człowieka, który tak czule i nieustannie kocha życie.... czule, nieustannie, niecierpliwie....

Piłsudski nie znosi pustki w koło siebie, mimo, że jak mało kto, umie być sam, — nie znosi chwili, w którejby nie wydawał miłych i drogich skarbów swej natury....

Jego sposób bycia jest kusicielski. — Gra w szachy z wyjątkową uwagą — to nic, — zdąży jeszcze położyć rękę na kolanie obok siedzącego oficera, choć wie, że każda chwila tej łaskawej familjarności jest tak wysoko ceniona.... Siedzi na kwaterze, po której łązi jakiś stary totumfacki. Tak go jakoś weźmie Komendant, że totumfacki wyjść z pokoju nie może, a gada, opowiada, sypie historyami, jak z dziurawego worka.

Nieporównany jest Brygadyer, gdy zasięga wiadomości od chłopów. W chwilach tych ustanawia się zawsze związek groteskowej poprostu serdeczności między nim a nimi.

Chłopi się zrazu boczą, a potem nagadać się nie mogą.... Poodał kolumna piechoty jak wierny wąż spiżowy, wlokąca się za wodzem, czeka cierpliwie, — kasztanka komendanta się nudzi, on zaś sam spełnia pozornie rzecz niepotrzebną.... Więc powiadacie, że nie obrodziło?

Chłopy, aż się czochrają na znak, jak nie obrodziło.... Ale!....

I bydła nic nie macie?

Zostało dwie sztuki u Walentego Boczka.

A czemuż temu Boczkowi bydła nie zabrali?

Czemu nie zabrali?

No właśnie, powiadacie....

I tak od jakiegoś błahego słowa do słowa, tymczasem z tych drobiazgów zacznie komendant miarkować coś ważniejszego, a chłopci stoją, przypochlebnie kasztankę za uzdę przytrzymują, radzi, że taka rozmowa idzie szczerą....

Bo tak jest w istocie. Haubice drżą od ognia, wicher ludźmi trzęsie na drodze, cała Brygada stoi na rozdrożu, Komendant czuwa, oczyma dalekie okolice przenika, — ale nie może równocześnie nie cieszyć się tym małym, zdrowym kłopotem chłopskim.

Dzięki tej głębokiej radości z wszelkiej rzeczy, którą spotyka, nie czuje się przy nim grozy wojennej. W tym składzie rzeczy staje się ona a priori rzeczą łatwą, czemś, co komendant prowadzi, jakby w międzyczasie.

Stały rozmach wyższości nad wrogiem, to cecha wszystkich jego planów. Ta wyższość prowadzi do pięknych rozstrzygnięć i prawdziwie rycerskich wyzyna....

Będziemy „ich“ wieszać komendancie, jeśli oni nas wieszają.... Komendant podniósł brwi, a potem szczerze jasno się roześmiał: Zastanówcież się człowieku, za cóż ja go powieszę? Za to, że walczy? Że jest żołnierzem?....

Ale oni naszych wieszają....

Bo dzicz! Dzicz... cóż ja na to mogę poradzić?....

Tak walczy prawdziwa wartość i nie przejmie nigdy w walce metody wroga....

Takim politykiem też jest ów wyjątkowy polityk, nie mający w jednym ręku złota, a w drugim giętkiego wpływu.... Polityka prosta — w rozchwiany naród miecz postawić, naradę, jak w sierpniu — nagłym odlotem trzystu orłów

zamknąć i nową zrodzić.... Kartę przewrócić, na księdze miecz położyć — zrzucić z tej księgi miecz, zrzucić — czy możecie?....

Musicie za Wodzem iść wszędzie drogami marszów, polami bitew i na wieczorną pogwarkę przy świecach przylepionych do stołu, musicie kochać tę zbrojną kompanię, która Mu towarzyszy.... A żebyście widzieli, jak wraca zimą z dalekiej drogi!....

W ogromnej siwej szubie, niby w szron i w lód, czy w niedostępne odziany dostojęstwo, obcy i najbliższy z ostrzem obliczem, jakie się w Polsce pięćset lat temu malowało, przed wyprawą Batorego na Moskwę... — Zobaczylibyście, że to prawdziwy Gość z kresu, co wszystkie kresy łamie i łączy, a szedłby — a prowadziłby naprzód i dalej w bezkres rozmachu, powagi — i zwycięskiego śmiechu....

Bo komendant śmieje się z *niebezpieczeństwa prawdy*....

PIŁSUDCZYCY.

Ludzi tych wzięła już na ogromne swe skrzydła Historya i nikt jeszcze nie wie, na wyżynę jakiej zasługi ich poniesie. Teraz stoją w kurzu i w dymie, w trzasku, w zgiełku walki, we wszystkich wspaniałościach i w całej grozie wojny.... Mogą powiedzieć, iż spełnili wielkie przeznaczenie, co więcej, że przeznaczenie to odkryli krótkowzrocznym oczom ogółu. Mogą powiedzieć, że towarzyszyło im od zarania poczętego dzieła to wszystko, co towarzyszy trudom bohaterów. Jeślibyśmy żyli w czasie legend, to legenda potężna owionęłaby głowy tych żołnierzy już za ich życia, bowiem istotnie legendarne jest, czego dokonali.

Idą w huraganach walki, szeregiem, który co raz śmierć rozrywa, niepomni śmierci, a tak pewni powołania swego, jak ludzie, którzy wieczną jakowąś tajemnicę i prawdę posiadli.

Tą prostą tajemnicą ich i słuszną prawdą jest, — że w boju jedynie, w przelewie krwi, w doznaniu śmierci, żywy Naród ma prawo sięgać po sprawiedliwość....

Otóż tę prawdę głęboką i zacną uczynił Piłsudski podwaliną młodego militarizmu polskiego, wokoło niej z jemu właściwą prostotą i czarem umiejac zgromadzić podobnych sobie żołnierzy.

Wojnę prowadził Brygadyer i jego oficerowie i jego żołnierze, nim jeszcze wojna wybuchła.... Wojnę z niedość skorem do czynu społeczeństwem, z obojętnością i ze śmiechem i z drwinami, wojnę z brakiem środków materialnych na prowadzenie organizacji, wreszcie skrytą, straszliwą wojnę z ustrojem państwa rosyjskiego, na którego przestrzeniach wiązał ustawicznie sieć bojowego pogotowia Polski.

Tę sieć nieraz udawało się wrogowi rozerwać.... Wówczas ginęły jednostki i trzeba było mieć olbrzymią moc ducha, ogromny hart serca, by pracy nie poniechać w obawie dalszych ofiar.

Siła rozumu, hart serca, cierpliwość planu i rącość w jego wykonaniu, to zasadnicze cechy charakteru Piłsudskiego.

Kto Go chce widzieć w momencie, w którym komendant niczego ukryć nie zdoła, niech patrzy na niego podczas bitwy. Wtedy, gdy cała praca Brygadiera, gdy wysiłki całego jego życia, gdy idea wszystkich jego idei — gdy I Brygada I Legionu — idzie w ogień....

Tylko człowiek nadzwyczajny, wódz urodzony, może z takim humorem, z taką radością i nieopisanie subtelną pychą słać najdroższych sobie ludzi do walki.

Najdroższych, bo przecie wszystkich ich zna oddawna, pracował nad nimi, gdy jeszcze na ławie szkolnej siedzieli, potężną dłonią wtłaczał ich w swe karby, gdy byli na uniwersytecie.

Trudno powiedzieć, że Piłsudski wydaje rozkazy.... Nie tak się to odbywa, a jakoś się dzieje poprostu, poufnie, w dziwłą słodyczą. Ta słodycz wynika z pewności, którą ma Brygadier, że każdy Jego rozkaz bezwzględnie zostanie spełniony.

Bitwa już rozpoczęta.... Piłsudski stoi przed kwaterą (śnieżne zbocza gór widnieją dokoła), jedną ręką na płocie wsparty, drugą głaską lekko po ramieniu wyprężonego, jak struna, dowódcę batalionu.

Batalion już gotów, czeka za chałupami, żołnierze, oparci na karabinach, dopalają „ostatniego“ papierosa.

Brygadier, — jakby o wiele starszy brat najmłodszemu bratu dawał serdeczne rady, — mówi swe rozkazy.

Armaty ryczą ustawicznie, palba karabinowa nieustannym kłopotem tłucze się po śniegu, to tu, to tam rozlega się przeraźliwy pytel karabinu maszynowego. W tej chwili Piłsudski, w szarem swem futerku, z twarzą myśliwiego



+ MAJOR BERBECKI

i drapieżnika, zadumany, romantyczny w spokoju swym i pogodzie — niezapomniane sprawia wrażenie.... Jakby tu przyjechał z daleka, dostojny, dystygowany opiekun, czy zaufany przyjaciel wielkiej sprawy.

Rozmawia z oficerami, z wdzięcznym humorem przyjmuje meldunki, idzie patrzeć jak biją granaty (biją one o 50 kroków od kwatery) i śmieje się, że takie ogromne dziury wyrrywają w ziemi. Właściwie zupełnie nie znać, że człowiek ten równocześnie prowadzi bitwę. Nie znać dlatego, że czyni to z ogromną łatwością i z fenomenalną intuicją. Dopiero, gdy nieprzyjacielowi przybywają znaczne posiłki, gdy Komendant czuje, że Jego szeregi walczą z przeważającą znacznie siłą — zmienia się.

Poczyna wówczas chodzić przed kwaterą tam i napowrót i coraz dalej w stronę walki, jak gdyby wleczony przemożną żądzą niesienia bezpośredniej pomocy swym oddziałom.

Widziałem Go, jak szedł tak prosto na strzały ku kochanej piechocie swej, wpisany w syczącą parabolę biegu granatów, z fruującymi nad głową obłokami szrapneli, szedł z góry, w słońcu, po śnieżnej drodze, rycerskiem zaiste jaśniejący obliczem.

Zsunięte nad oczami oszronione brwi, nieruchome były jak bruzda. Oczy niebieskie, bystre, straciły w tej chwili tę złotą iskrę dobrotliwości i humoru, która zazwyczaj z nich wybłyska. Okrutna twardość i najszanowniejsza troska biła z owych tak romantycznie niebieskich źrenic. Pochylony naprzód, z czołem tak bajecznie sklepieniem, iż wyklucza ono wszelką pomyłkę planu, szedł, jakby musiał iść ojciec na pomoc, gdyby tam przed nim dzieci jego walczyły.

Największą jego zaletą, prócz wszystkich cnót obywatela i żołnierza jest zasadnicza cecha wodza: umie wybrać ludzi, zaś wybrawszy, bez trudu i zachodu przepaja swą ideą.

Ten czarujący talent sprawia, że Brygada Piłsudskiego stanowi zwartą całość odrębną i (ponieważ Komendant formali-

styką nikogo nie krępuje) tak wielką bujność charakterów przedstawia.

Innym, na pozór zgoła innym od Brygadyera, jest nieoceny jego zastępca, podpułkownik Sosnkowski.

Któżby przypuścił, że ten surowy, wysoki, pysznie zbudowany oficer, pamiętający w przeciągu długiego czasu każdą minutę wydanego rozkazu, nazwę każdej miejscowości, rozmieszczenie każdego plutonu w czasie walki, że ten tak surowy szef sztabu jest zamiłowanym wielbicielem sztuk pięknych. Kocha muzykę, lubi szarówką dopaść fortepianu na jakiejś kwaterze i grać Schumana, Szopena, obchodzą go jak najżywiej nowe szkoły malarskie, a literaturę rozumie, jakby się miłości słowa uczył we Francji.

Podpułkownik Sosnkowski jest świetnym typem inteligenta polskiego. Talent do sztuk pięknych, zamiłowanie do klasycznego kierunku myśli, estetyzm, znajomość wielu zagadnień filozofii współczesnej, chęć radości życia w najgłębszym sensie tego słowa — wszystko to wtapia Sosnkowski w swą twórczość wojskową. On to w eleganckiem a pewnem ręku trzyma całe sznurowanie władz i dyspozycji, On wprowadza młodzież polską w godność i ład szeregu.

W czasie bitwy pamięć podpułkownika Sosnkowskiego i orientacja, jak gdyby się pomnażały jeszcze. Jest wielką radością śledzić, jak poniekąd uprzedza on sprawozdania ordynansów, odgadując sytuację frontu. Zaś dumnym może być, kto podczas długiej bitwy dotrzymał Szefowi sztabu placu we współpracy. Nie zna On wówczas ani odpoczynku ani wytchnienia.

Wojnę odczuwa głęboko i czule jak tragedję, lecz widzi cel, który przyświeca wojnie i to każe mu wszystko dla niej przewartościować. Ze względu na ów pierwiastek walki duchowej i nieodwołalnych przewyciężeń, jest Sosnkowski postacią nader wdzięczną i dramatyczną w najgłębszej pełni tego wyrazu.

Kto go widział, jak po długim, upartym boju idzie na czele I-go Legionu daleką drogą, smukły i strojny, spokojny i podniosły, ten może powiedzieć, iż widział, jakie szczęście daje spełnienie obowiązku i jak silnem ono echem gra w szeregach....

A teraz wy panowie oficerowie piechoty, obywatele kompanijni, obywatele plutonowi, wpleceni w kolumnę, wy, których światem jest batalion, domem kompania, lub całą rodziną pluton! Spełniacie trud olbrzymi, mało promieni sławy dający, a straszną pracę.... Jesteście solą rozprawy wojennej, kamieniem węgielnym wszelkiego oporu i pierwszym, nieodżałowanym celem śmiałego szturm!

Wy, oficerowie piechoty, najtragiczniejsza i najgłębsza poezjo wojny, nie wielcy sławą, a wielcy zasługą!

Oto wraca z bitwy kapitan Berbecki.... Przez kilka godzin z jednym plutonem zasłaniał przemarsz swego batalionu. Gryzł się z Moskalami ząb za ząb, piędź o piędź, w kurzu, w prochu, w trzasku broni i wrzasku „hurra“ coraz szedł na bagnety, ostrym grzebieniem stali rozczesując ciżbę atakujących. Wraca, niosąc cztery karabiny i kilka rewolwerów.... Taki jest skrzętny, że w czasie śmiertelnej walki zdąży popodnosić karabiny, pozbierać rewolwery, bo broń ceni jak chleb i nie ścierpi, by leżała na ziemi.

Może chcecie wiedzieć, gdzie się tak bić nauczył?... Dziad jego w 1831 r. służył w Strzelcach Zielonych pod Kozietulskim, ojciec w 1863 r. w partyi Kruka. Kapitan Berbecki, sztabskapitan rosyjskiej piechoty, został pięcioma orderami odznaczony za męstwo w wojnie rosyjsko-japońskiej....

Czemużecie tak dzielnie walczyli dla Rosyan? — spytacie kapitana.

Bo nam mówiono — odpowie — że wszystko popsują ci na „cki i na ski“ (t. zn. Polacy), a zresztą, gdy wasza kompania, gdy 200 par oczu patrzy na was z ufnością, trudno coś nieładnego zrobić.

Wraca kapitan Berbecki przez las dymiący ze swym bata-

lionem. Rozkaz do odwrotu dał dopiero, gdy zoczył, że już jest otoczony. A chociaż otoczony, dotąd rozkazu nie dawał, bo go nie doszło nic w tej mierze z komendy głównodowodzącej.

Nie doniosły rozkazu patrole, chłodem śmierci stygnące na martwym polu....

Idzie tedy, tnąc się z wrogiem, na główną kwaterę, choć wie, że nikogo tam nie zastanie i zastać nie może....

Tam pustka, — w sieni się kręci wiatr, a w kątach pożar już tli.

Dopiero, gdy kapitan posłuszeństwu i najdroższym jego pozorom oddał wszystko należne, cofa się z czterema karabinami i z pękiem pozbieranych rewolwerów.

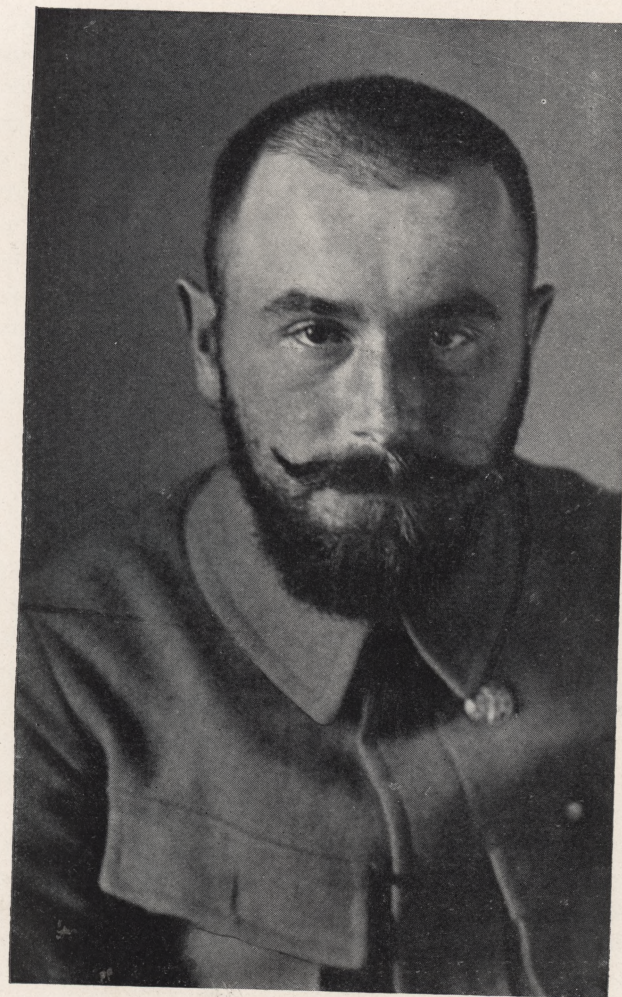
Taki jest kapitan Berbecki.

Myślicie, że on jeden ?

Kapitan Ryłski, naczelnik „Sokoła“ amerykańskiego, z komfortem idący do bitwy, gdy granat wyrzucił w chałupę, wędruje ze stołem do pisania meldunków tuż obok na pole — nie może przecie pisać na kolanie... W czasie marszu kłóci się ze wszystkimi, w czasie boju nic go nie oderwie od walki. Gotów wysunąć swój front naprzód z całości frontu, gdy nie napotyka „dość silnego“ oporu wroga. Jest ciągle niezadowolony, bo nigdy nie ma dosyć jedzenia dla swych ludzi. Gdyby mógł, dałby im cały świat pożreć, aby całemu światu czoło stawić mogli.

Jego miękka, zezłoszczona twarz idzie wzdłuż rowów strzeleckich, w burzy kul karabinu maszynowego, który na szczęście góruje i w burzy słów.... Bo kapitanowi mało, że jego ludzie doskonale się biją. Trzeba jeszcze, aby to paradnie wyglądało. Więc urąga swym plutonom, a trudno mu coś odpowiedzieć. Wszak stary to praktyk. Przeszedł całą wojnę burską po stronie Boerów przeciw Anglikom, wie, jak wygląda najdzielniejsza wojna w najtrudniejszych warunkach.

A przecież obraz tego ładu, porządku i szyku w najtrud-



PODPULKOWNIK RYDZ (ŚMIGŁY).

niejszych warunkach, w bitwie najmężniejszej, jest już w Brygadzie. Był on od dawna w III. batalionie majora Śmigłego. Trzeci batalion stanowi jak gdyby gwardyę I. Legionu. Tam, gdzie uderza Śmigły, tam musi być wynik dodatni, tam, gdzie on gospodaruje, ład. Major Śmigły należy do rzędu tych twardych oficerów piechoty, na których nigdy nie znać zmęczenia, którzy nigdy nie są niespokojni, a walkę prowadzą poprostu, jak wykład treściwy. Po kilku dowodach nieprzyjaciół rzuca potrójne okopy i rozumie naukę — na długo.

Potem ci — którzy są żywą pieśnią polskiego oręża, nie milknącem wspomnieniem serca, źródłem najlepszych marzeń, laurem kwitnącym i wiecznie młodem tętnem polskiego boju — Ułani!

Ułani, których — jak się sam wyraża rotmistrz Belina — kleił w ogniu po jednym, po dwóch, aż do obecnego splendoru dwóch szwadronów. Dziś jest to stary, doświadczony oddział. Żołnierze ci nie wiedzą, co to znaczy czegoś nie znaleźć, lub nie znać jakiejś drogi, lub nie trafić, lub wogóle czegoś nie móc.

Furya i spryt cechuje każde poruszenie się tej kawalerii. I to wszystko koń w konia, chłop w chłop, oficer w oficera! Belina jedzie przodem zwięzły, zwarty w sobie, rzekłbyś, wcielenie energii i szybkości. Srogiemi oczyma patrzy przed siebie drapieżnie, niczem żbik.

Lisowczyk, jakże go nazwać inaczej, Lisowczyk!

Za nim ogromny porucznik Dreszer, z piersią pod pancerz urodzoną, mąż twardy, gwałtowny, honorny, istny smok, gdy rusza do ataku. Albo podporucznik Lewandowski z tym szelmowskim, kochanym uśmiechem w najgwałtowniejszym ogniu. Albo wielki podporucznik Wieniawa, tyleż mężny co dowcipny, — zaś dowcipem całą brygadę do śmiechu skłonić potrafi. Albo młody, uroczy, piękny porucznik Grzmot, jeżdżący wśród kul jak na garden-party, elegancki a nieustępliwy — za nic.

Albo... ci wszyscy, których wymienić już niepodobna, ci bezimienni. Stwarzają wzniosłość szeregu, a nikt o nich nie wie, stanowią, iż nieprzemierzony jest skarb zasługi i nieprzebraną miarą zasługi.

Ci wszyscy od krańca oddziału po kraniec, którzy sprawiają, iż szczytna дума, jak gwiazda, płonie nad szeregami, a sława ojców opuszcza słynne oddale i czynem zwołana wraca żywa między synów mężną gromadę.

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—



SZARŻA I. DYWIZYONU I. BRYGADY.

SŁAWEK — KAP. ŚNIADOWSKI KAP. BRZOZA.

Ktoś z tych ludzi, dla których wojna będzie już tylko łatwym aktem, uroczystością nieomal zewnętrzną w stosunku do pracy i roboty, jaką położyć należało dla powstania uroczystości — dla przygotowania wojny.

Wielkie słowo narzeczeństwa a ślub, czyn — a giest.... Jeden z tych ludzi, co powstał z uporu i cierpliwości Piłsudskiego, — kwiaty żelazne....

Niema strachu, niema męki, niema braku, niema nastrojów.... Bieżące hasła są wodą biejącą, geometrycznie ścisła ekonomia — żelatyną, niema zbytku czy rozkoszy, któraby mogła na drodze stanąć....

Przypatrując się robocie Sławka, pochodowi tej duszy zawartej w jasności i w zwykłości chciałoby się krzyknąć: Odpocznij, zatrzymaj się!

Lecz nie i nie, w tem nie mogło być zatrzymania.... Te kwiaty żelazne, rozrastając się zwyciężają wszystko, tak jakby nareszcie ich kielich twardy a potężny miał wmieścić w siebie wszystek wonny błękit nieba Ojczyzny....

Jest to kwiat kuty w ogniu, hartowany żarem niepokoju, studzony przeraźliwie i raptownie w wodach śmierci, bity obuchem szalonego marzenia tłumów....

Wola stalowa, wyrastająca z rozpaczyny niewolnego piasku....

Kwiaty, — niechże się spełnia porównanie, — dziergane tokiem życia, strzępione, och strzępione!... Człowiek poszarpany ogniem na strzępy, zaś we wnętrzach tego poranienia — roziskrzony duch....

Lecz przecie niema cierpień, zaś upadek nieznany tu jest, obcy. Nie przeto tedy zrasta się ciało, iżby spocząć, lecz

aby świadectwo dać, że niema i nie może być żadnego ciosu i żadnego kalectwa przeciw woli....

Po ogromnym okresie walk rewolucyjnych jest Sławek głównym pracownikiem w Skarbie Wojskowym. Zebrać wiele pieniędzy na broń, na ogień i znów iść po nowe rany, a jeśli chwila nie nawinie się sposobna, wydać życie z tymi pieniędzmi.... Oszczędności, skąpstwu ludzi leniwych tłuma-
czyć rzecz wspaniałą skromnie i trzeźwo w płaszczu z krwi i bólu, łyskając twarzą surową, od blizn błyszczącą jak po-
cisk wzniesłego gniewu. Z wyraźnym godłem walki w ry-
sach tać za kordonami to, co wypisane jest na zawsze
chwalebną szramą na obliczu.

Więc nie dziwota, — żołnierze, — że nasz mundur nosi
Sławek jak żaden z nas nosić go nie potrafi. Mundur, który
dla nas jest strojem walki, jest dla niego szatą godową, bo
walka, którą wiem teraz, jest weselem w porównaniu
z tą, jakiej przed nami Sławek był pierwszym żołnierzem.

Nie widzicie go na czele batalionu, a widać go i tu i tam,
jest wszędzie.... Zjawia się, znika, jest wszędzie czuwający,
iżby się rozrastał na niezaradnej polskiej krainie kwiat
kuty w ogniu, hartowany żarem niepokoju, iżby z słabo-
ści niewolnego piachu wyrosła korona prosta... godna, jak
szczęście strzału, jak cios odparty, jak po walce ręka na
bijącym złożona sercu — jak to, co się opowiedzieć nie
da — jak Ojczyzna.

Zdaje się czasem, że Ojczyzna to tylko przewyciężenie
własnej słabości. Przewyciężenie największej polskiej sła-
bości — sporu, waśni partyjnej....

A gdy się to zdarzy w dojrzały letni dzień, gdy się to odbywa
wśród ludzi dzielnych i czynnych w obowiązującym czasie
wojny, ile wzruszeń, ile starych grzechów — odrobionych....

Tak właśnie potoczyła się sprawa między nami a kapita-
nem Śniadowskim.

Główna kwatera stała w Miechowie, poszczególne oddziały
parły naprzód. Wtem na rynek, na ten stary miechowski



KAP. BRZOZA I KAP. ŚNIADOWSKI NA POZYCYI.

rynek, który kiedyś szturmowali powstańcy, wjechał oddział modny i strojny w bogatym ordynku i szamerunku. Oddział, na widok którego nam chudym wilkom, ubogim oberwańcom w głowie się mogło było zawrócić....

Jechali znużeni — kawalerya — jakby po zażartej bitwie, pośnięci na siodłach, ale rzemyk w rzemyk, spinka w spinkę, guzik w guzik błyszczące w słońcu, — jedno pieścidło wojenne.

Na niebieskich czaprakach, wyciętych w stary szpic granatowe litery — czegoż to były inicjały?....

Jechali, jak po zażartej bitwie, a tacy dostatni i zamożni, doprawdy z nieznanego dla nas świata.

Sokoli przyjechali. Zbuntowani Sokoli.....

Parło do nas to bractwo gorącą forszą trzy dni i trzy noce. Ażeby już raz za sobą zostawić ten ul huczącej i opieszalej narady, ważki z uncyą i z łutem różnych kamyczków obrazy....

Panicze — bo to wszystko wyglądało jak panicze — zlazłszy z koni posnęli na schodach, we framugach, na bruku, — jakby przez otwarte we śnie usta ogromną prawdą tchnący.... A czoła w słońcu.

Kapitan Śniadowski, — bo on ich tu przyprowadził, w pełnym rynsztunku wszedł do kwatery głównej, wyróżnął w ostrogi przed komendantem, który go przyjął, jakby się dopiero co rozstali. Na popielatej od kurzu twarzy Śniadowskiego czerwieniły się bezsenne krwawe oczy. Stał w izbie pod słońce, obwiedziony srebrną lamą blasku, ciężki i zamaszysty w rajtarskich rękawicach.

Piłsudski przyjął niespodziany meldunek spokojnie, nad falą wielkiej radości nie raczył ni sekundy zabawić, wyznaczył czas odpoczynku, miejsce na kwatery dla oddziału i rozciął wszystko przeszłe i całą przepaść spał jednym ostrym rzutem ręki, oddającej ukłon za ukłon posłuszeństwa....

Kapitan Śniadowski stał jeszcze chwilę na baczność, pyszny i groźny w nowym swym posłuszeństwie, jakby twardy

goniec ze świata herbu i inicjału, który stare rozgadane tradycje oddaje w powołane mocniejsze ręce.

Choć zresztą, gdzie się kończą dziś tradycje tej ziemi, gdzie rwą, a gdzie zaczynają?... Zostało w nas, w nas, czy w tym kruszcu, któryby Polską zwać można, tyle różnych drogich kamieni — wtopionych, jak w dzwon.... Komu polska tradycja, nasz kruszec najcenniejszy obcym być może, jeśli ów ktoś kocha słuszną walkę?

Jeśli wadliwie nawet mówi po polsku, — tego mi komendant Brzoza za złe nie weźmie, — to znajdzie inną wymowę, mocniejszą niż słowo, — znajdzie wymowę ognia.... Komendant Brzoza nie wypowie czterech wierszy, byście w nich cudzoziemskiego nie słyszeli akcentu, lecz posłuchajcie jego polskiej, jakże polskiej retoryki, gdy wam wytoczy armaty na otwartą pozycję i zacznie bić!

Jakież to donośne, jakież świetne deklamacje!

Armatki były stare i złe, jak złe stare psy. Armatki prochem dymnym strzelające każdym strzałem zdradzały swą pozycję. Strzelać z nich znaczyło tyle, co wątpliwą śmierć zadając, skrzydłami dymu pewnej śmierci drogę ku sobie pokazywać. Wozić je i taszczyć znaczyło tyle, co toczyć kamień Syzyfa. Narychtować tę zbieraninę w obliczu nowych, świetnie zbudowanych znaczyło tyle, co na kucykach iść w zawody z końmi pełnej krwi.

Więc nie iść w zawody?

Iść tak, jak idzie Brzoza z jakąś cierpliwością muru.

Już doszedł. Wali z tych armat tak komicznych, że nikt nie wie, skąd to i co i jak to jest możliwe. Wali tak blisko nieprzyjaciela, iż ten bierze chmury dymu za wybuch własnych szrapneli. Stare psy warczą, świszczą, nieznośnie kichają tym ogniem i żelazem. A Brzoza twardy, nierozumiejący niebezpieczeństwa śmierci, a śmierć siejący, chodzi wśród tego gospodarstwa i mówi pysznym, pysznym akcentem dział, w którym słyszeć stare, świetne pogłosy wymowy Bema....

SIEROSZEWSKI—DR ROUPPERT— JUR.

Sieroszewskiego widziałem pierwszy raz w kochanych Olean-drach. Kuchtą wtedy był przy szkolnej kompanii (tak właśnie kolej dyżurów szła). Widziałem, jak uwijał się po podwórzu z ogromnym jakimś baniakiem, czy kotłem i szorował jego zamorusane wnętrze, drobny, mały, jakby lada chwila cały miał się w tym kotle schować.

Jacyś znajomi wołali do niego coś przez parkan, on zaś wesoło im odkrzykiwał, schylony we dwoje, z nabiegniętymi żyłami na skroniach.

Rozprostował się nareszcie. Wtedy uderzył mnie blask jego oczu. Te oczy wychylają się ponad bezikie — bo darujcie, ale na nosie Sieroszewskiego każde szkło stają się beziklami, — i mierzą to, na co patrzą i wyrażać się zdają zawsze: Myślałem, że to coś trudniejszego, tymczasem to nic, zaraz się da zrobić....

Stał utyłany w piachu, w poplamionym mundurze, spocyny. Nie będę mówił, że przez ten żołnierski strój przebijało świetne powołanie wielkiego pisarza. Toby była nieprawda.... Nic nie przebijało.

Stał nad garem warzy żołnierskiej stary, prosty wiarus, — do pioruna — tensam, który co pokolenie wraca do młodego pokolenia i namawia i wzywa i rozkazuje: Rzuć książkę, ruszaj w pole! Marsz! — bo trzeba się bić....

Drugi raz miałem okazję widzieć Sieroszewskiego w dzień, w którym zerwano most na Granicy. Tłumy wówczas biegały po Rynku krakowskim, snując się pod starymi bramami, tłumy bezradne, choć wzburzone.... Słońce świeciło

wspaniale, dzień był tak piękny, jak tylko może być na Rynku, gdy złotą lamą kontury wież obwiedzie.

Sieroszewski szedł ulicą Sławkowską ku Rynkowi, uśmiechnięty i gadał do samego siebie. Szedł tupiąc mocno po bruku ze szklami i z czapką na bakier. Jedną ręką wymachiwał zamazyście, a na ramieniu niósł tylko co kupiony karabin Manlichera.

Tak musieli wyglądać starzy żołnierze Wielkiej Rewolucyi, tak musiał wyglądać szaraczek szlachcic brat, gdy z garłaczem walił do Kościuszki.

Wiem, — choć dziś ci sami powiedzą, że to nieprawda, — wiem, że się z niego opodał stojący ludzie śmiali. A on se szedł z polska, zamazyście, łabatym krokiem (na fortepianie Szopena zowie się to — tempo *rubato*), oczyma wszystkich witający: Myślałem, że to coś trudniejszego, tymczasem to nic....

Potem go pamiętam, jak latał z posyłkami, jako dyżurny ordynans na komendzie Placu w Parku krakowskim. Tam przyszło nam razem pisać odezwę, na gwałt, raz dwa, w ogrodzie za kantyną. Siedliśmy na beczkach, czy pakach, a Sieroszewski zabierał się do pisania, jak chłop do jedzenia z westchnieniami, utyskiwaniem i śpiewnie się wypraszał: Dosyć już pisałem, nie umię teraz pisać, mam ręce do karabinu, nie do pióra.

Zaś jeszcze później spotkaliśmy się na wiecu, gdzie przemawiał do ludzi, nad którymi pracował od wielu, wielu lat.... Do ludzi, którym wiele razy życie poświęcał i więcej od życia, bo całą swą pracę i najserdeczniejszą myśl....

Rzecz się działa w miejskim ogrodzie. Sieroszewski stał na ławie, wówczas już w mundurze kawalerzysty i dziwnie jasnym głosem, w którym tętni dał długiego wygnania i taka prostota, taka świeżość, wyjaśniał zebranym dokoła ludziom, czym jest dla Polaków państwo rosyjskie.

Czyż chcecie być niewolnikami? zakonkludował.

Prawda, że to było jeszcze wtedy, gdy najsprzeczniesze



DR. ROUPPERT, NACZELNY LEKARZ I. BRYGADY.

sądy ścierały się u tylko co rozwartych progów wojny.
Dość — że mu ludzie nie odrzekli.

Czyż chcecie być niewolnikami?! — powtórzył.

Milczenie....

Wówczas ujrzałem, że na błysk sekundy życie zamarło w Sieroszewskim. Zachwiał się na ławie. Twarz jego zbladła śmiertelnie, oczy zgasły. I miały opaść ręce.... Lecz w biegu tym miał opuścić się, grube i twarde palce ruchem żołnierskim bluzę tylko obciągnęły. Mała postać po strasznej tej obeldze wyprostowała się znów i głos pełen wielkiej dali wygnania znów płynął nad rzeszą i znów żywa iskra żrenicy wyrażać się zdawała: Myślałem, że to coś trudniejszego, lecz to nic....

Bo on se idzie zamasyście łabatym krokiem, stary prosty wiarus i do każdego zdąży pokolenia i niema już dali, któraby dlań była daleką, — wszystkie przemierzył, — i idzie, póki nie dojdzie....

Wydaje się, że to rzeczy będą luźne, a przecie nie. Coś z tego samego uporu i stałości jest w naczelnym doktorze I. brygady, doktorze Stanisławie Rouppercie.

Nie bójmy się prawdy.... Zmartwiłby się dr Rouppert boleśnie, gdyby wiedział, że jest na niego ułożona śpiewka bardzo zła i że niejeden warczy, gdy widzi ogromną sylwetę doktora, przemijającą w marszu.

Łapiduch — psia krew!!

Ależ tak, tak, tak! Nie jednego ducha udało się Rouppertowi złapać.... Ale na to trzeba walki ducha i na to czasem trzeba mieć serce kamienne dla *człowieka*, gdy ma być czułe dla *Sprawy*....

Lecz skąd o duchu mowa, gdy mowa o gospodarstwie ciała? Cóż bowiem innego może dziać doktor na wojnie?....

Otóż może.... Może maruderom, którzy wypadają z kolumny powiedzieć, łamiąc ich słabość i litość własną zwalczysz: — Musicie iść.... Możecie....

Może, gdy się ktoś waha, gdy się czyjs duch i hart z sła-

bnącym ciałem zмага, może doktor powiedzieć: — Jesteś-
cie zdrowi, wracajcie do ognia!

Gdy wódz prowadzi walkę z wrogiem zewnętrznym, cały
ciężar walki z nieprzyjacielem wewnętrznym spada na barki
doktora. Gdy tamten na krosnach Sławy haftuje dowód
męstwa i mocy, ten przy lewej stronie tej roboty czuwa,
związując węzły i supły, o których nigdy nie napisze hi-
storia, a które, by zdzierżyć — wielkiego trzeba poświę-
cenia....

Ja muszę być zły. Obowiązkiem moim — wymagać prze-
cież od ludzi — nie od żołnierzy, od ludzi — zawsze wię-
cej, niż od siebie wymagają....

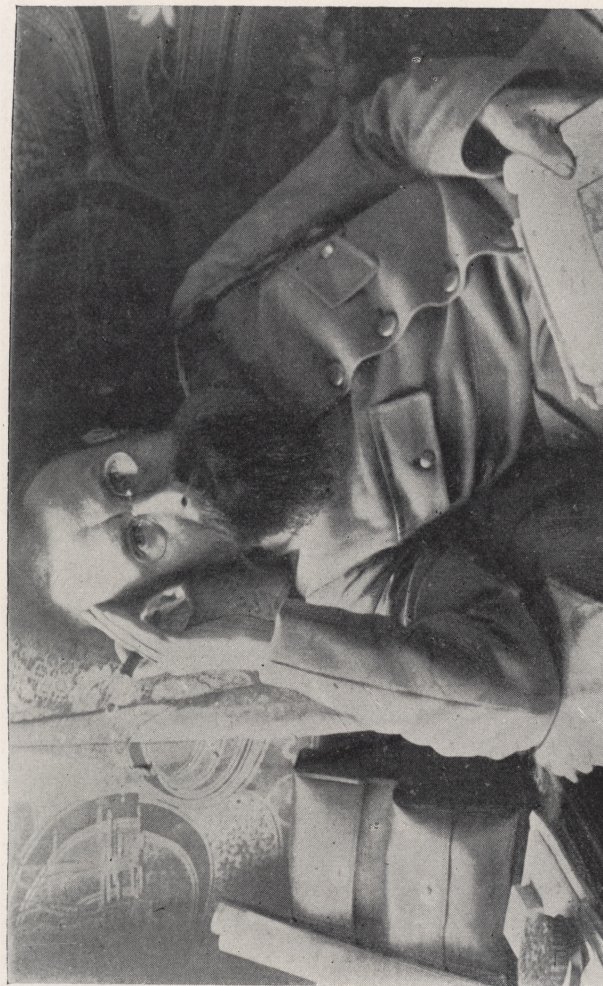
I znów, jakby się rzeczy wiązały związać się nie dające.
Bo szef żandarmeryi polowej Jur, gdyby mógł, wymagałby
od ludzi mniej, niż oni sami od siebie.

To sprawia, że go tak wszyscy lubią, cenią na tym srogim
posterunku żandarmskim.

Jur dobrze wie, co to są żandarmi! Przecież pewnej nocy
jako żandarm wywoził z Pawiaka dziesięciu towarzyszy —
on, baron Budberg!

Zbroiłś człowieku Bóg wie co. Niepokój cię ogarnia.... Na-
reszcie przychodzi wyzwolenie: Szef żandarmeryi cię wzywa.
Będzie burza, z której ty wyjdiesz jako pokrzywdzony
nader wielką surowością, czyli, że ostatecznie sprawiedli-
wość będzie przy winnym....

Stanąłeś przed obywatelem Jurem. Tymczasem on z winą
twa jakby nie może sobie poradzić. Kiwa nad nią głową —
jakby wyczesać chciał tę winę z swej brody, patrzy na
ciebie przez okulary dobrymi oczyma wuja fundatora czy
brata starszego i sprawia ci tem najcięższą, ale też najsła-
chetniejszą z kar: — Zawstydzę cię....



SZEF ŻANDARMERYI JUR (GORZECZOWSKI).

DR KUKIEL-GRUDZIŃSKI-FLESZAR.

Po tylu, tylu, tylu wiecach, po tylu, tylu, tylu przemowach, po tylu zjazdach, konwentyklach, dyskusjach, sporach, rozłamach, zerwanych mityngach, — czyż może nadejść spełnienie?....

Dr Kukiel czuwał, aby nadeszło, mówił, czytał, pisał, ile się tylko dało.... Mówił, złośliwie tnąc ostrzem swego kostycznego humoru i dobitnie, krągło toczonymi słowami uśmierzając przeciwników. A potem, jakby w nadziei, że obcowaniem z bronią przeszłości przywoła broń teraźniejszości, — zagłębił się w historię oręża i broni polskiej z przed stu lat....

Było zapewne rzeczą trudną oglądać, widzieć, jak przed stu laty marnowało się bogactwo, gdy dziś ubóstwo pod tym względem za zbytek się uważało.... Boć przecie od ubóstwa — do nędzy....

Aż przewrócił się czas tych wszystkich przygotowań — szabla się stała rzeczą codzienną, śmierć zwykłą, rana — pospolitą....

Tem niemniej jeszcze się szczęście nie raczyło uśmiechnąć.... Kukiel nie poszedł na linię, a został na etapie, jako plac-komendant. Wiem, że go gryzło to oficerstwo urzędnicze....

Hałasował po biurach, wystawiał papiery, kwitki, przepustki, całe to szare papierowe ciasto wojskowe etapu w miarę wyczyniał, z pewnością zazdroszcząc pierwszemu lepszemu szeregowcowi I. Brygady, który wraca z linii.

Toby się powinno napisać atlasowemi literami: „z linii“.... Tyle w tem dumy i prostej satysfakcji.... Może sobie na nią pozwolić byle kto... Może sobie pozwolić, że idzie wśród

czyściutko ubranych, najedzonych funkcjonariuszów etapu oberwany, utyłany w błocie, głodny, znużony, dymem i potem cuchnący, a przecie pan! Bogacz, któremu za całe bogactwo starczy kartka komendanta batalionu, gdzieś w polu na kolanie pisana.

Bogacz, pan, szeregowiec szary, — szary powszedni dzień czasu walki....

A Kukiel, który polskich bojów nauczył się tak znakomicie, ma teraz żywe i świeże boje za linią pieczętować atramentem?....

Nareszcie uśmiechnęło mu się szczęście, — został przeniesiony do szeregu. I to jest nadzwyczaj piękne, że w nim i z nim wtapia się głęboka świadomość ubiegłych walk w walki bieżące. Suchą jak pergamin twarz historyka osmala wiatr świszczący w okopach a nie gnębi tęsknota z kart wiejąca. Bystre oczy nie kartę badają, lecz teren. Tkliwość i wzruszenie jak gdyby drugiego stopnia poznania ogarnia Kukiel, gdy spadają nań te wszystkie uciążliwe kłopoty gospodarki kompanijnej i wszystkie wytyczne komendy i wszystkie podziały wojskowego pożytku.

Kukiel smakuje w tej rzeczywistości za wszystkie bezorężne lata polskie, cieszy się za cały żmudny czas słów i mów — a nie czynów. Czuje się jakby dzieckiem, młokosem wobec młodziutkich, a starych doświadczeniem żołnierzy i to jest piękne.... I możnaby powiedzieć, że mądrość ksiąg i ścisłość teorii i giętkość nauki czuje się w osobie doktora Kukiel, dzieckiem, — wobec bojowego doświadczenia ludzi, którzy umieją szturm zawsze wykonać, a nie potrafiliby go nigdy opisać....

Mądrość ksiąg i ksiąg marzenie, i luna kart, gdy się w oczach zachwyty jak skrzydła rozwijają i z ksiąg zmyślonie postacie, nazwiska, wartości....

Ożyły wtórnem życiem te nazwiska w pseudonimach młodych pierwszych strzelców, a pseudonimy te to były puklerze, godła, czy w jednym typie zawarte wyznania wiary...



KAPITAN FLESZAR (SATYR).

Były to godła z tej rewolucyi słowa polskiego, które poprzedzało czyn.

Więc jest w Brygadzie oficer, — nie powiem przepasany tęczą — lecz oficer, który z marzeniem broni przebywał w najlepszej łunie ducha polskiego lata całe, którego broń prosta i mocna spoczywa niejako na rozwartej księdze poezyi, jak we wrotach wyniosłych.

Nie wiem zupełnie, coście pisali i nie wiem, co piszecie i co piszą nasi młodzi — mówił mi porucznik Grudziński — od lat już nie czytuję nic prócz Słowackiego i taktyki....

Zachwyciłem się, gdym to usłyszał, bo cóż jest na świecie piękniejszego od tej poezyi, upajającej jak ogień szalony, i od ognia silnego, jak ta poezya wiązana mocą i czystością....

Nie poznacie w Grudzińskim jego lektury, wierszy i uniesień. Jest silny, zwięzły — a twarz ptaka północy z jakąś ascezą wysokości, — na wąskich zaciśniętych ustach cisza i rygor, — tylko w oczach głębia gorąca.

A jeśli chcecie zobaczyć typ poważnego oficera piechoty polskiej — chodźmy do okopów.

Oto na jednym skrócie tego kretowiska, czy labiryntu, we frontowym rowie, przed który niemasz dostępu, jak poprzez krew i śmierć, zjawia się człowiek prosty, jakby z kamienia wykuty, barczysty i spokojny, o twarzy dziwnej, powiedziałbym nieodgadnionej, jak ziemia.... Komentant VI. batalionu — Satyr Fleszar.

Trudno było o stosowniejszy pseudonim. Czoło ogromne, równo ucięte, nasuwające się na oczy, w dużych ciężkich zwałach i dwa guzy na czole tak widoczne, że aż niepokojące. Pod jasnym, szerokim kłosem brwi, oczy daleko od siebie rozstawione i skośne, zielone a zimne o nagłych blaskach białej iskry....

W całej twarzy równo i grubo wyciętej, w ustach dużych i twardych jak klamra brązu, — jakaś logika architekuralna.

Takby wyglądał Faun, gdyby był filozofem. Takby mógł wyglądać człowiek wiecznego protestu, gdyby nie barwa tego oblicza, zwiewna, tkliwych odcieni pełna — cera dziecięca nieomal....

Jest jakaś budująca poprostu niemożliwość w przecięciu tego, co Fleszar, uczony geolog, wie o ziemi — z tem, co teraz tu czyni i doświadcza. Pojęcie o tych milionach tysięcy lat, których przebiegu może się umiejętnie domyślać, których kształt i moc rozpoznawać może z fal terenu — krzyżuje się przecie z tem maleńkiem pasemkiem przemijania, jakim jest ta wojna i ta czarna fala śmierci, kipiącej dokoła.

A niby przeczy temu wszystkiemu głos wysoki, świeży, nadmiernie młody, głos zdrowy i tak ostry!...

W rozerwany, gliniastym okopie zwarta i ciemna jego twarz sprawia wrażenie bezwzględnej łączności z istotą tej gleby... Zdaje się, — że ten oficer, mający już poza sobą pierwszorzędną kartę bojowej zasługi — nie oficerem jest, a radcą tej ziemi, że powstał z niej, jak zlepek gleby i kamienia.... Że to sama ziemia, bez udziału wszelkiej ludzkiej woli stworzyła ten twór mocny, który gdzie pójdzie, tam okop wyrośnie, gdzie spojrzy, tam ostre się wyszczerzą zasieki....

Takby mogła wyglądać samoobrona ziemi....



TABORY W POCHODZIE.

DOKTORZY I. BRYGADY.

Nasi doktorzy... Któż ściągnął na siebie tyle przekleństw i tyle błogosławieństw, co oni!... Ten sam lekarz jest dobroczyńcą i katem, człkiem bez serca i serdecznym druhem, bezwzględny oprawcą i czułym opiekunem...

Doktorzy są, że się tak wyrażę poza racjonalnością wszelkiego sądu. Sądzi się ich wedle choroby lub rany, na którą się cierpi. Zresztą w ręku swym ważą zdolności do linji, „lekką służbę“, odpoczynek, urlop, wszystkie ulgi i obciążenia. Rozdawcy chorób — sami nie mogą chorować, szafarze odpoczynków — sami nie mogą odpoczywać....

Doktorzy na wojnie muszą mieć cechy istot nadzwyczajnych, wyższych, niczem wiecznych. Powinniby być bogami czułymi na wszystko, a niczemu nie dostępnymi. Energia ich nie może ustać ani na chwilę. Widzą najgłębszą istotę wojny, są ciągle u jej źródła, wysłuchując czujnie serce człowiecze.... Człowiek w mundurze, czyli nie człowiek, lecz żołnierz, przed nimi jedynie może jeszcze być człowiekiem nagim.... Zaś oni winni godzić w wyroku swym prawo żołnierskie z prawem natury. To właśnie sprawia, że doktorzy stali się — sceptycznymi filozofami.... Łączą w sobie smutek i wesołość, uśmiech pogodny i brwi zmarszczenie, żart nieomal trefnisia z grymasem najsmutniejszego pobłażania.

To, co wiedzą o człowieku, jest teraz tak dalekie od tego, co ów człowiek czyni.... To, co mogą czynić, jest tak dalekie od tego, co wiedzą...

Zdaje mi się, że każdy z nich wolałby nie być teraz doktorem.... Czyżby nasz doktor Piestrzyński, na swym ciężkim dromedarze, z harapem w garści, z lunetą przy oczach, długi jak don Kichot, nie wolał pełnić służby wojennej

od humanitarnej?! Jeśli tylko może, wymyka się ze szpitala, drapie się na wieżę kościelną i obserwuje ruchy nieprzyjaciela. To znów komunikuje swe spostrzeżenia komendantowi artylerii, czuwa nad celowaniem dział, albo zachwyca się krwawą robotą karabinu maszynowego.

Chorych swych, — to biedne ciało ludzkie, które przelało już ducha i żebrze naprawy, — traktuje sumiennie, lecz bez wszelkiego liryzmu.

Nie tak doktor Jakowicki.

Jakowicki wstydzi się swych chorych. Wstydzi się tych wszystkich ran, cierpień, boleści, przyczajonych epidemji, całej tej jatki wojennej. Rzekłbyś ów cios krwawy i kolosalny, jaki się zadaje ciału ludzkiemu od Taurogów po Karpaty, odczuwa na własnej skórze....

Zakładając opatrunek sprawia wrażenie, jakby już dawno wiedział, że dany żołnierz będzie ranny i to tak a nie inaczej. Wobec tej sprawy dawno wiadomej zaś teraz doświadczanej, serdecznością, z jaką zakłada bandaże, usprawiedliwia się. Zasób tej serdeczności poważnej i tkliwej zda się być niewyczerpanym.

Ujrzenie ją na twarzy doktora Jakowickiego w subtelny rumieńcu, który towarzyszy jego pracy w kątach ust, w których drga słodki, nieledwie dziecienny uśmiech i w oczach tak bardzo znużonych i przychylonych.

Jak sobie radzi doktor naszej kawalerii Maszadro w twardej ręku Beliny, jaki repertuar chorób uznany jest przez Dywizyon, na które tam choroby można wogóle chorować, od ilu stopni zaczyna się gorączka kawalerzysty — nie wiem....

Nie tak łatwo Belina rozstanie się ze swym żołnierzem, — chorego będzie wiozł za sobą na wozie, będzie kłąć i będzie go niańczyć wierząc, że opieką swą sprawi więcej, niż wszyscy medycy świata.

Doktor piechoty Paczesny nie należy do ludzi, którzyby posiadali jakąś wybitną charakterystyczną cechę. Pracuje równo, spokojnie, starannie i cicho.

Któż nie zna brunatnego futra doktora wdzianego włosem na wierzch z przepaską czerwonego krzyża spadającą na mankiet. Któż nie zna jego bródki koloru tego futra i małych zacnych oczu niebieskich. Zrazu zdaje się, że to wszystko nieporozumieniem jest, że szofer udaje doktora, czy brunatny niedźwiadek szofera....

Obserwowałem doktora Paczesnego w ciężki dzień bitwy pod Marcinkowicami. Stał ze swym sanitaryatem w małej chałupie przy drodze. Dzień był jasny, słońce się szkoliło na gościńcu. Droga tę, niby sine strzępy, gnane leniwym podmuchem, wracali ranni.

W chacie na noszach leżał nasz żołnierz śmiertelnie ugodzony w brzuch i jęczał. Paczesny opatrywał drugiego lekko rannego w łydkę.

Pierwszy skazany był na śmierć. Z chwili na chwilę twarz jego żółkła, oczy gasły w twardych nie przeźroczystych połyskach. Głowa na osłabłej szyi chwiała się, jak na wątlej łodydze owoc zbyt ciężki....

Ranny dopominał się ustawicznie o plecak i czapkę.

Drugi, lekko ranny po wielkim wysiłku w boju, jakby wracał do życia z szaloną furją radości, dumny, że tak mu się udało okpić kulę. Ręce mu drżały, mówił głośno, coraz rubaszniej i zaciągnął się dymem papierosa z nieopisaną rozkoszą.

Doktor Paczesny z równą starannością opatrywał tych, którzy za kilka godzin w ziemi legną, jak i tych, którzy za kilka już dni do szeregu wrócą. Potem wychodził przed izbę czekając nowych zakrwawionych gości.

I czy ta rzecz była w blasku słońca czy w szarych bryzgach rozpęku szrapneli, w perłowym tle nieba, czy na tej drodze, po której się włóczył ból żołnierski, dość, że mi się zwidział wtedy doktor Paczesny jak skromny cierpliwy gospodarz żniwa, którego nie chciał siać, lecz które zbierać będzie, nie rachując swego, a pilnie licząc cudze życie....

Lecz typ! Typ doktora I-go Legionu, typ polaka-medyka wojskowego, zawadyki i pocieszyciela stanowi dr Składkowski. Czułość jakaś rodzicielska mięsza się w jego duszy z temperamentem wiarusa, a temperament z niemiłosierną kpina, a kpina z wiedzą, a wiedza z serdecznością i tak w koło....

Dźwięk gitary, brzęk kuli....

Dźwięk gitary, na której doktor gra ze śmiechem, a śmiech pomieszany z wielką powagą surowego obowiązku.

Dźwięk gitary, świst kuli i pęd!... Pęd szeroki.... Niechby w ranach i we krwi, ale z honorem iść, iść dalej.... Przez błoto i kule z płaszczem na ramionach, z nożami w pugilaresie, z browningiem u boku; z dowcipem niewyczerpanym po przez chroniczny katar krtani.

Ale iść — przez wszystkie nosza krwią zbluzgane, przez wszystkie białe amarantowe zmoczone pasma opatrunków, przez morze żalu, śmierci i krwi, niebieskimi oczyma patrząc w ogień morderczy — iść do Polski....

KOLUMNA.

Ujrysz z daleka szarą lawinę, sunącą zwolna po gościńcu. Zwidzi ci się we mgle, że to olbrzymi wąż, czy potwór jakowyś stunogi w ciemnościach nieśmiałego poranku, pełznący uparcie ku tajemniczym krańcom horyzontu.... Ku tym straszliwym krańcom, gdzie wśród gwiazd się włączają ceglaste wypieki łuny pożarów a niebo drży, niby w westchnieniach jasności, w rytmicznych wyblyskach salw armatnich.

Maszerować!

Komenda ta jest nadzwyczaj prosta. W praktyce długich marszów zostało w niej właśnie już tylko to jedno, najważniejsze, zasadnicze: Nie pluton, nie kompania, bataljon, czy pułk, a tylko „maszerować“, bez wymienienia tych, do których się to odnosi, bo przecie sami już wiedzą.

Maszerować — rzeczzone bywa rozmaicie. Młody oficer dziarsko zgrzytnie komenderując, jakby zdrowymi swymi zębami kruszki krzemienia gryzł. Starszy, niczem dobry gospodarz, wymawiając komendę ogania nią i ogarnia swe szeregi.

Na drodze czernieją kompanie, niby ciemne bloki zwalonej z wysoka olbrzymiej kolumny....

Maszerować!

Ruszyli i widzisz, jak masa głów faluje w rzadkim roztworze mgieł.

Ludzie idą naprzód poddani, tem osobliwem pochyleniem jakie nadaje postaci plecak. Wygląda, jakby im spieszo było, zaraz biegiem popędzą.... Tymczasem, choć do biegu gotowi, idą wolno. Głowy (bo karki sztywnieją od ciężaru) wzniesione ponad miarę normalnie idącego człowieka, rzekłbyś głowy natchnione....

Tak, że jest w tem naraz i ciężki, twardy trud i lotność wielka i wyższe jakieś powołanie....

Kolumna maszeruje.... Słysząc brzęk karabinów i miarowy rytm nóg piechura, nóg, których nauczył się używać ze znawstwem....

I słysząc głos cierpliwie deptanej ziemi.

Jaka będzie pogoda od rana do wieczora, jakie było wczoraj i jakie jutro nastanie, — rzecz obojętna. Czy przyjdzie na zmarszczkach świeżej grudy wykręcać kostki, czy mięsić stopą rozlażle błoto gościńca, czy ślepnąć przed pałą słońca, lecącego po niebie, czy mogiłki świeże tratować i iść jak w zwojach całunu, we mgle dręczącej?... Czy śnieg uśpi rozległe pole, czy wiatr niespokojnym pospiechem przestwór napelni, czy przyjdzie tu wrócić kiedykolwiek, czy nigdy już nigdzie nie wracać — wszystko jedno...

Kolumna maszeruje....

W tyle za nią strzepią się niby włókna i kłaczki wielkiej tkaniny, grupki maruderów, których skwapliwa władza wciąż zagania do szeregu. Są to swoiste Falstafy czy Zagłoby kolumny, chytre dowcipnisie, dla natręctwa wobec ludności, miaukaczami zwane. Są to żołnierze całkiem dzielni, ale którzy z zasady od początku wojny „trzy dni nic nie jedli i cztery doby nie spali“.

Maszerować!

Wiatr poły płaszców odrzuca, słowa rozmowy zgania z ust precz. Kolumna milczy i sunie, bacząc jak gdzieś na przodzie słysząc zgrzyt skrzynek amunicji artyleryjskiej, wieszonych na jucznych zwierzętach.

Te lśniące gładkie butle (bo czyż nie do butli podobne są naboje granatów lub szrapneli), te zimne cacka zdają się pisać i kwilić w puzdrach.

To znów mija kolumnę chrapliwa wataha taborów. Więc jedna z drugą, płótnem oszyte budy, podobne zdaleka do kruszek brudnego sera, który ciągną mrówki.

To znów łamie kolumnę żmudny przejazd baterii. Niby



I. BATALION II. PUŁKU KAP. ŚLAWA.

niesamowite kościste potwory toczą się po szklistej gołoliedzi od jednego brzegu do drugiego. Słońce się w szwach brązu promieniami pręży, a armaty jak gdyby nie chcą iść.... Jest w tem coś okropnego.... Po czterech kanonierów trzyma za każde koło, rzekłbyś ręce swe wplećli we szprychy. Starszy liną przez zamek uwiązaną powoduje, a straszliwa maszyna, niby złoty kościsty bies ociąga się, wzdraga, iść nie chce, zewsząd ciałem ludzkim oblepiona.... Minęli. Jeszcze przebiegł konny ordynans, dziwnie samotny i ważny na pustej drodze.

Kolumna wciąż maszeruje prosto na ten tajemniczy kraniec horyzontu, gdzie między gwiazdy się wdała krwawa rana pożaru....

Aż w mroku wieczora, — nito czad jakowys uroczy, nito rzecz najmiłsza, czy zjawą sztandarów niesionych ongiś tutaj (a które nigdy nie staną, póki nie dojdą), czy wdzięk, którego najsroższa śmierć nie zwichnie — wypływa nad szeregi pieśń żołnierska:

O mój rozmarynie, rozwijaj się!
O mój rozmarynie, rozwijaj się!
Pójdę do dziewczyny, do mojej jedynej,
Pokłonię się! Pokłonię się!

Kiedyż się rozmaryn rozwinie, do dziewczyny jedynej czy zdążysz?....

Kolumna się już w mrok wszyła, nie widać już butnych rogów czapek Legionu, siwe płaszcze opłynął cień, — więc jakby nie oni, a sama ziemia śpiewała i drzew gałęzie....

Pójdziemy z okopów na bagnety!
Pójdziemy z okopów na bagnety....
Śmierć mnie ucałuje, śmierć mnie ucałuje
Ale nie ty! — Ale nie ty....

Jeszcze sto kroków, — przedkłada sobie ktoś, — jeszcze sto kroków, potem już wyjdę z szeregu. Jeszcze sto kroków, by być razem z wszystkimi, gdy wchodzić będziemy do wsi, a baby z pod krzyża wrzasną: To nasi idą!!!

— Jak się macie matko!?!

— Wy się lepiej macie, bośmy was zobaczyli...

Jeszcze sto kroków, by stanąć w piorunach tej radości, że się lepiej od nich mamy, bo one nas zobaczyły....

Zakwitają w śpiewie tęcze wspomnień z przeróżnych stron, bo przecie ten jest z Krakowa, tamten z Nowego Targu, ów z Kielc, ów z Częstochowy. Brata się też pod szarym zaszczytem piechurskiego płaszcza fach najrozmaitszy i brata się ziemia rozdarta... Doktor medycyny łokieć o łokieć maszeruje z bednarzem, filozof z szewcem, a matematyk z chłopem.

Zaś ty, najmłodszy!

Oczy cię pieką, jak kule ogniste, a na ramionach od pasów płomienie czujesz dwa.... — Na grzbiecie, niczem żarno ogromne cięży ci plecak, a karabin zjeżdża z obojczyka, jakby ci rzemień gweru łojem wysmarowano.

Zmieniasz przerozmaicie twój marsz, to kantem stopy krocząc, to na piętach, młody obywatelu-żołnierzu, coś na wieść pierwszą biegł w rozchełstanej kapocie z Warszawy do Krakowa, albo z parą butów wykradzionych z komory i z dużym białym serem stawałeś do szeregu w Jędrzejowie.... Niesforny w oddawaniu ukłonów, ty co się „samemu Piłsudskiemu nie kłaniasz“, lecz by celniej razić przed okop wypełniesz.... Ty żołnierzu i chłopcze, złoty gzymsik od karnisza noszący w plecaku, lub w ogniu wyczyniający sitko z okrywki szrapnela. Ty, którego żaden alarm nie wytrąci z pogardliwej równowagi, żołnierzu o młodych, chłopięcym puchem obrośniętych rękach....

Maszerować!

Idzie cała kolumna, nie myśląc czy w czarną śmierć czy w zwycięstwo, jak chodzili hoplici, jak zapewne szli Japończycy, z tą jedną myślą — aby się mężnie bić.

Idą, wszyscy pochyleni naprzód, rzekłbyś wprzągnięci do olbrzymiego rydwanu, na którym ciągną — ku krańcowi horyzontu, drżącemu w błyskawicach — sławę Narodu.



I. DYWIZYON I. BRYGADY.

KAWALERYA I. LEGIONU.

Stary, polski dwór głęboko zasiadł w ziemi, tak, że iskrzący się śnieg leży tuż pod oknami. A dalej sterczą wiązki suchych gałęzi, chudość kościstej zimy, a dalej świat odęty wiatrem, daleki, senny, przepastny, nasz polski świat zimowy....

Okna patrzą na ogród, raczej na zarys jego nieśmiały.... Kurzawa śnieżna, rzekłbyś, pył samego zapomnienia buja po ścieżkach. Przesłaniać się zdaje i tak dość już krótkie i tak dość już pogmatwane drożyny....

We dworze sufity niskie, a podłogi skrzeczące, meble zużyte. Cierpliwe jakieś oblicza dziadów i ojców pendzlem olejnym umarynowane — i cisza.... Dwór grzybieje powoli, daleko od traktu, po którym płynie krew i ogień, dwór zaszył się w śnieg i o niczem, o niczem wiedzieć nie chce....

Zaś gdyby dwory.... Gdyby więcej miał głosu stary zgrzybiały dach i żłób wyszczerbiony i wrota i zamki rdzewiejące, niż niejedno serce leniwe....

Dwór grzybieje powoli, a daleko na trakcie, zstąpiwszy z dawnego obrazu, opuściwszy kadzidła marzeń i snów, zerwała się pyszna jawa polska!...

Czyście widzieli ich jesienią, czyście witali, czyście żegnali, czyście gościli ich w zimie?...

Jadą konno zbrojno, na obraz i podobieństwo krakusów Madalińskiego, ułanów księcia, na obraz i podobieństwo tego rycerskiego czynu, który krwią okwitł i nigdy już — zdawało się — nie wskrześnie....

I czy wiecie, że nie pieśń o ułanie puka do chłopskiej chaty, a ułan żywy, zziązany jak wilk, gorący jak ogień!... Ułan

polski konia przed chałupą za pysk trzyma, zmarzniętą pięścią tłucze po szybach — otwórzcie!

Nie pieśń woła, a ciało, krew i broń żywa.... Czyście witali?...

Jadą dwójkami przez wieś, przez miasto, przy słońcu i przy księżycu, każdy potakując postacią całą rzeczy oddawna ustalonej i pewnej.... Nie otaczajcież ich uwielbieniem! Nie jest to żadna wizja, a rzeczywistość najprostsza. Tak właśnie prosta, że aż się wszystkim daleką zdała.... Czyście żegnali ich poprostu chlebem, masłem i poczęstunkiem, jak żegna się syna, gdy idzie na robotę?...

Trzeba było mieć wielką zasługę bojową i wielką pewność pokładać należało w swoich ludziach, trzeba było mieć wielką cnotę rycerską, by ważyć się na podjęcie zerwanej nici i wrócić życiu nie tylko w czynie, lecz i w formie dawny i sławny rodzaj broni.

Tego dokonała kawalerya Beliny.

Ułani polscy, honor, splendor, zaszczyt i cała radość, jaką ten termin w sobie mieści, są znowu.... I cały gniew, impet i złość burzliwa.... I zaczepka w jednego na dziesięciu i najpiękniejsza rzecz w świecie, świst strasznej szarży, od której ludziom oczy zbieleją!

Nie wzięli się ani z płótna, ani z wiersza, a z walki, z życia, z zasługi bojowej. Ich mundur dzisiejszy i ten wielki, srogi kask, te sznury dawne, zawiesiste, są widomym symbolem łączności z przeszłością.

Składa się na to nie tylko męstwo zupełne, nie wahające się nigdy, lecz wszystkie łączne z niem cnoty i zalety. Fakt walczenia w jednym szeregu za wspólną sprawę czyni wszystkich żołnierzy dywizyonu i wszystkich jego oficerów braćmi. To rodzinne poczucie się, dla niewojennych ludzi dziwaczne, wojakom tak bliskie, na drugi plan usuwa z serca to wszystko, co krępuje żołnierza w jego furii, pasy rycerskiej i rozpędzie. Kto czeka na tych ułanów poza frontem walki w starej zagrodzie, domu, we wsi, czy w mie-



ROTMISTRZ BELINA.

ście, czy to jest czuła narzeczona (kwiaty mroźne na szybie ustąpią świeżym, polnym), czy siostra, matka, czy ojciec, niech wie i niech zazdrosnym będzie: Nową, szaloną rodzinę znalazł ułan, ma dwie — : tam w domu czułą serca rodzinę, tu w polu buńczuczną familię broni....

Dzięki temu prawie niemożliwym jest w tym szeregu żadne wykroczenie — odrazu cały szereg ono obraża.... Lecz również każdy czyn chlubny nie idzie na karb jednostek, a przypisuje się honorowi całego oddziału....

Kto tak rozkładał zasługę i kto na tej podwalinie fundował wojenny tryb tego oddziału? Rzecz 'szła z góry od Beliny i jego oficerów. Wedle jego pojęcia służba wojenna nie zna poszczególnych zasług — winna być jedną nieustającą zasługą. Oficer, który do wczoraj był pierwszym oficerem, może tu jutro już stać się szeregowcem, wystarczy na to jednego dnia, jeśli ten dzień nie jest w szeregu innych pierwszorzędnych.

Dzięki temu ułani dywizyonu są wzajem tak siebie pewni. Mogą zawsze za siebie ręczyć, mogą zawsze ręczyć za sprawę, której się podejmują. To stwarza ową odwagę cywilną, ów spokój rycerski, z którym mógł Belina wziąć stary model z muzeum, żołnierską ręką wyszarpnąć z zakurzonej framugi dawne kawalerzyckie godła i rozdać je swemu oddziałowi. Mógł urzeczywistnić dawno w pyłach dewocyj drzemiące marzenia i to, co stylem już tylko było, uczynić życiem obowiązującym....

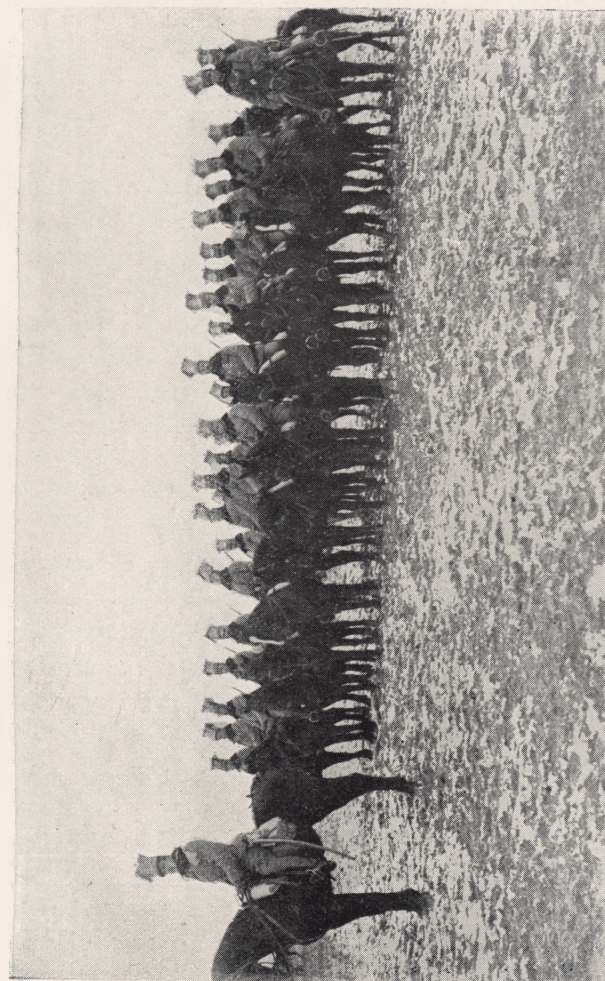
Godność i prostota przeniknęła również gospodarkę pierwszego dywizyonu. Niema tu fircyków, gogusiów, niema sobków — jest towarzystwo wojenne. I miłość koni! — A koń — to ziarno, a ziarno — to wieś, a wieś — to chłop.... Warto widzieć, warto słyszeć, jak się dawne zacne echa w pierścieniu tym kołaczą.... Jak ułan-inżynier, czy ułan-filozof chodzi koło konia, obrabia go, a chłop znawczem okiem poziera na te zabiegi i zaraz się odnajdują we wspólnej miłości.

Długa, pracowita gospodarka — pozbierajno pan te wszystkie frenzle, gurdy, rzemienie, łańcuszki z siedmiu koni — na kilka szwadronów i dorób się pan ze sznurka — ułańskiego ordynku. A potem jednym mocnym i szybkim ruchem, ruchem Beliny — wszystko na jedną kartę!...

W starym polskim dworze okna patrzą na ogród, słońce zachodzi, aż mróz i szron się rumienia. Jak krew świeci blask na różgach suchych gałęzi....

Niema stu lat niewoli, gdy ci, co sto lat temu zginęli, dziś żywi weszli do starego przedsionka.... Słychać zewsząd dzwonięcie ostróg, jak kropli tających dźwięk na kamieniu. Wielki trakt pewnej, starej sławy ogniem i krwią płynący wjechał do dworu i dawne godło na mężnych czołach i młody rozkaz w obrotnym, stalowym ręku.

W polskim dworze.... W cichym ogrodzie kurzawa śnieżna się kłębi i różowi, szuka oddali na krótkich ścieżkach — w jeden węzeł ściąga pogmatwane drożyny....



PLUTON PODPORUCZNIKA WIENIAWY.

PRZED WYMARSZEM.

Nic nikogo nie może obchodzić data, ani nikt nie może wiedzieć kiedy.... Wszystko musi być w pogotowiu, jakby to się stać miało jutro i jakby wszyscy wiedzieli, że jadą — wszędzie.... Bo gdy nie wiemy dokąd, przygotowani być musimy, że pojedziem — wszędzie....

Potem zjawia się rozkaz. Trudno odgadnąć, w jaki sposób udaje się żołnierzom przeczuć rozkaz wymarszu. Dość, że przeczuwają zawsze. Poprzedza go, niby grom, chmura, — omroka przeróżnych domysłów. Idziemy tam, idziemy ówdzie.... Jedziemy, idziemy, wozami, — nieprawda, kolejną.

Ale, co ty mówisz, marszem idziemy!

A dokąd? Wszędzie. Żołnierz przypuszcza wszystkie możliwości i to powiększa tylko jego beztroskę. Godziny spotkań serdecznych nabierają coraz większej ścisłości i nie trudno usłyszeć mijając framugę kościelnego muru:

Pamiętaj, pamiętaj kochana, jutro wieczorem o siódmej piętnaście!

Nareszcie zjawia się rozkaz. W kwaterze głównej przywitany on jest zupełnie spokojnie i tak, jakby się go spodziewano od dawna. Zmusza on do ponownego przeglądnięcia całej mimikry wojny i najcięższym brzemieniem spada na barki: Litwinowicza, doktorów brygady, wszelakich taborytów (tren), zbrojmistrzów i naturalnie odpowiedzialnych kierowników oddziałów.

— Porucznik Litwinowicz — głosi dyspozycja — wyda, obliczy, zwinie (warsztaty), rozdzieli (resztę wozów) tak, ażeby bezwzględnie jutro....

— Podług rozkazu — odpowiada z brzękiem ostróg, zaś brzmi to jakby się stalowe, rozkazem spłoszone cyfry zde-rzyły w jego głosie.

— Doktorzy, — dalej podług słów dyspozycji — pracować będą cały dzień. Oddzielić wszystkich maruderów. Od pojutra już żadnych maruderów się nie uwzględnia.

Wozy....

To słowo wyrywa, wytłacza, czy wyciska mimowolny jęk z piersi wszystkich.

— Ile macie wozów, Śmigły?

Zaczyna się liczenie tych tak cennych, a tak nieznosnych sprzętów wojennych, dalej kombinowanie (bo to zawsze trzeba aż — kombinować) koni do tych wozów, dalej upręży.

Po wielu sztrychach ołówkiem wprzód i wtył, gdy już brygadyerowi powieki na oczy opadają ze wstrzymywanej złości, a szef Sosnkowski rwie niecierpliwie prawego wąsa, — liczba wozów i ich definitywna przynależność jest ustalona. Ostatecznej prawdy nikt tym wozom tu nie objawi, lecz robi to „taboryta“ na drodze pojutrze, gdy mu się mutra zgubi.

— Żeby cię chcholerrra ścisnęła, ty wozie zatracony — powie wówczas taboryta.

Odprawa skończona. Komendanci przyjęli rozkaz z całym spokojem i posłuszeństwem, a teraz jadą z tym pasztetem na swoje lokalne odprawy.

Od „jutra“ od wczesnego świtu skrzeczą wszystkie telefony, łączące poszczególne oddziały, skrzeczą, miauczą i pieją niecierpliwie.

Fury pędzą tam i z powrotem wszystkimi drogami. Litwinowicz to gubi się, to się znów zwycięski wyłania z powodzi kwitów niezliczonych, srogi komendant placu Grudziński jak gdyby zelżał, bo urząd jego kończy się wraz z opuszczeniem miejsca. Kancelarya sztabowa, niby dobro jakieś bezcenne, przelicza i sortuje maruderów. Kończą już swą pracę chytrzy zbrojmistrze, sprawdzając cyfry i właścicieli karabinów.

Żegnaj, pocziwa, przytulna chałupo, do widzenia wam

baby pocziwe, daj rękę wyświechtaną i mocną kudłatą, nieogolony gospodarzu!

Trzymaj się, trzymaj się dalej tak poważnie i wdzięcznie stary, opuszczony pałacu. Radosne zdziwienie lekkim łukiem uniesionych arkad twych nie ujrzy nas znów tak prędko i nie prędko niebieskie lekkie sylwety Legionu w pośpiechu biegnąć będą pod mlecznym cieniem tych sklepień!

Bądź zdrowa droga prosta i radź sobie jak możesz małe, gościnne miasteczko... Droga przed nami prosta jest wszędzie, droga jedyna... Ty zaś miasteczko, miej pamięć o nas i gdy minie miesiąc, a nas niema — mów, że już miesiąc, a gdy miną dwa, że już dwa, a gdy trzy — mów, żeśmy daleko naprzód poszli, żeśmy bitni i prędcy...

Kolumna się już wyciągnęła na drodze, czekajcie — idziemy naprzód, — czekajcie teraz, aż z łomotu bojów przedrze się ku wam jakaś wieść o nas, czekajcie, bo wkrótce dumą wzbiorą drogie wasze serca...

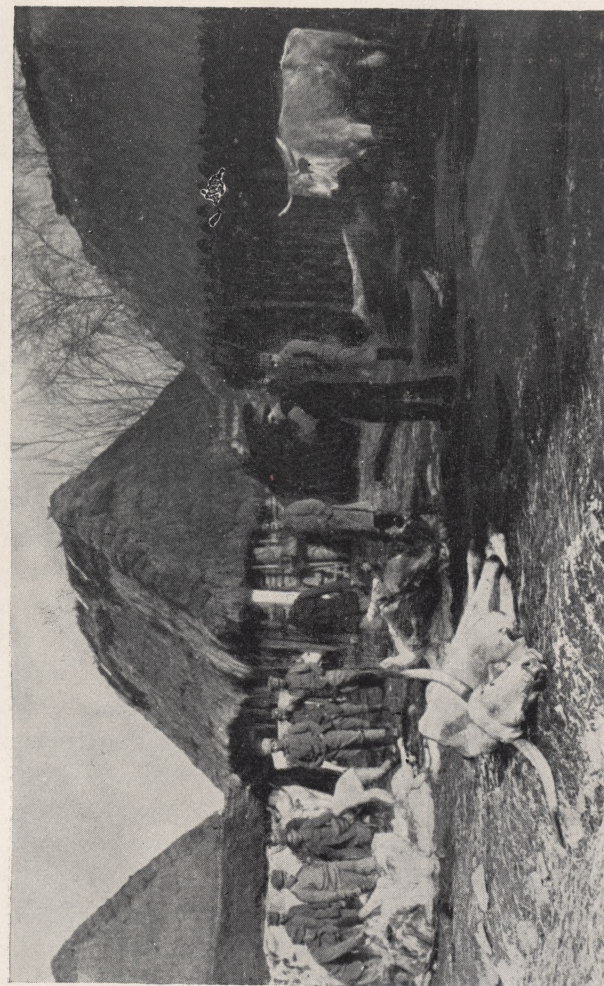
GOSPODARKA I. BRYGADY I. LEGIONU.

Tak, jak na przestrzelonym łachmanie sztandaru mienia się wszystkie barwy ojczyzny i nie ciasno im i nie wąsko i nikt się nie dziwi, że jeden strzep streszcza w sobie wody, ziemię, góry i całą duszę kraju, tak nie może być dziwnem, że gospodarstwo wielkiego oddziału i jego idee samorządne i plany i wykonanie ich zamykać się może w niewielkiej skrzyneczce. Że odbywać się może wśród huku wystrzałów, ataku, czy cofania się, czy marszu....

Gospodarstwo to, niby maleńka i najprostsza arka przy-
mierza — bo przecie są w niem myśli pokoju i sprawie-
dliwości — tłucze się za oddziałem na wozie. Chronić je
trzeba, by się nie potoczyło do rowu, by go deszcz nie
zmoczył i nie zamazał, by obcy ludzie nie rozniesli, — aż
znów gdzieś przygodnie w chałupie rozkłada się...

Nie może ono polegać na ścisłym obliczeniu czasu tych,
którzy gospodarują, ani tych, którzy są „gospodarowani“.
Jakże obliczać czas, gdy śmierć i cierpienie pośród niego
ugania?... Nie może ono polegać na rozłożeniu się planowem
wśród miejsca jakiegoś i nigdzie tu kratki żadne stanąć
nie mogą a tem mniej ręka z napisem — „do etc“.

Cały bank, wszystkie jego piętra i biura leżą rozłożone na
stole. Wszystkie zapasy w pieniądzach papierowych, jak
niebieskie tomiki jakiejś popularnej biblioteczki w prze-
paskach — i w skrzynce.... Zaś akta tego „banku“, mimo
kilku maszyn do pisania, które gdzie mogą, tam coś dopiszą, —
to atramentowym ołówkiem posiane na żółty papier gryzmoły.
Pierwsza brygada I. Legionu mogła była jednak mówić



BICIE BYDŁA.

już o statecznej gospodarce, gdy udało się jej mieć na tyle spokoju, czasu i miejsca, by te gryzmoły atramentowego ołówka wykorzystać.

Początkowe czasy jej trudów i bojów były tak nieprzerwane i wysilające, że istotnie całej sprawy finansowej niepodobna było drobiazgowo wyczerpać.... Załatwił ją w najkardynalniejszym zarysie wynik referendum oficerskiego, mocą którego w myśl starych, czy wiecznie młodych za sąd świeżych armij, oficerowie zrzekli się swych poborów na rzecz żołnierzy.

Wypada tu podchwycić dokładny sens tego referendum. Były w tej enuncyacji oficerów-obywateli, która przyszła naturalnie i spontanicznie, — te właśnie tradycje, jakie towarzyszą zawsze armiom improwizowanym we wielką godzinę przełomu czasów i losów. Owo referendum stwierdzało wspaniale brak jakiegokolwiek różnicy stanu obywateli wobec sprawy ogólnej.

Możnaby zarzucić, że później sprawy inaczej poszły. Zarzut taki jednak nie byłby słuszny. Nie o to bowiem idzie, że pewne zastyganie formacji wojskowych musi sprowadzać pewne modyfikacje w postanowieniach pierwszych, lecz o to, że modyfikacje te będą zawsze pochodniami danego postanowienia i na zawsze ślad wielkich marzeń na nich się odcisnie....

Tak też się stało i z założeniem gospodarczem I. brygady. Gdy po uciążliwych bojach i niesłuchanie forsownych marszach przyszła ona do Galicyi, znalazł się jej korpus oficerski w obliczu dwóch faktów, które skłoniły go do rozważenia typu gospodarki. Spokojniejsze stosunkowo warunki bytu umożliwiały głębszą naradę. Wyczerpanie się z zasobów materialnych dyktowało — jej konieczność. W życiu oficerskiem, które pociąga za sobą pewną reprezentację, ukazały się braki w wyekwipowaniu. Wielkie oddalenie, czasem odcięcie zupełne od rodzin i domów usuwało wszelką możliwość pomocy na drodze prywatnej.

Otóż wszystkie te bolączki miało rozstrzygnąć zgromadzenie oficerskie, zwołane w Lipnicy Murowanej na 2 stycznia b. r. Przebieg jego i chwila, w której się odbywało, były nadzwyczaj charakterystyczne. Działo się to przecież w kilka dni po wspaniałej bitwie pod Łowczówkiem, gdzie razem z rannymi padło 35 oficerów brygady, gdy cała, że się wyrażę przenośnie, ociekała jeszcze krwią....

Działo się to w chwili, gdy podjęcie idei gospodarczych było widowym znakiem nawrotu do życia i głębokiej jego afirmacji.

Zdania się rozstrzeliły w pierwszej chwili. Ostatecznie, kapitałną większością zdecydowano, że wszyscy oficerowie I. Legionu, posiadający mianowania c. i k. armii, kwitują pobór pełnych pensyi, które bezpośrednio przechodzą do wspólnej kasy. Oficerowie, wszyscy bez względu na stopień i jakość mianowania, pobierają po 100 K miesięcznie, żołnierze, bez względu na stopień, po 10 K miesięcznie.

Komenda brygady zrzekła się w tej sprawie ingerencji. Decyzja i rządy kapitałem, administrowanym korporatywnie, oddaną została w ręce delegacyi, wybranej przez ciała oficerskie poszczególnych batalionów i oddziałów. Między innymi skład jej stanowią kapitan Piskor, porucznicy Dreszer, Wojsznar, Sarmat, komendant batalionu Olszyna-Wilczyński.

Z wydatków, najpoważniejsze rubryki stanowią ekwipunek, wypłaty dla rannych, — chory i ranny pobiera automatycznie 150 K, które są doręczane przez sanitaryat z funduszu na ten cel specjalnie przekazanego.

Do czasu, w którym formalnie rozwinięto I pułk w brygadę pobierało pensję 200 oficerów brygady (po 100 K), podczas gdy z kasy rządowej 40 zaledwie mianowanych przez c. i k. armię. Po rozwinięciu I. pułku w brygadę pobiera pensję 246 jej oficerów, podczas gdy na zatwierdzonym etacie rządowym figuruje stu dwudziestu.

Nie ulega kwestyi, że koncepcja korporatywnej gospodarki



TABORY I. BRYGADY W MARSZU.

postronnych zadziwia, drugich, zwłaszcza niepoinformowanych dokładnie, co do stanu rzeczy napęnia niepokojem. Sprawy te jednak, o ile ma się traktować, należy przede wszystkim znać, wiedzieć, że listy ze spisem oficerów przesłane do wszystkich instytucji, mających do czynienia z ruchem i pobytem oficerów, — uniemożliwiają wszelkie nadużycia etc.

Rzecz prosta, że przy takim rządzeniu pieniędzmi utworzy się ich zapas, z czasem może nawet dość wydatny. Użycie jego będzie zależało jedynie i li tylko od postanowień korpusu oficerów.

W całości tej gospodarki musi się rzucać na plan pierwszy ścisła zasada koleżeństwa wzajemnego, która wyznaczając równą „gażę“, wytwarza mniej więcej równy stan. Zasada ta mocą swych finansowych zarządzeń przyczynia się do poczucia solidarności, braterstwa wśród oficerów. Obiera ona z najlżejszych cieni dążenie do odznaczenia się i wyższej rangi. W tym składzie rzeczy wyższa ranga — może być tylko szerszym zakresem działania i absolutnie niczem więcej. I również, w tym składzie rzeczy ów fundusz tworzący się i narastający automatycznie wiązuje poniekąd oficerów wszystkich więzią jakiegoś przyszłego pożytku, który sami kiedyś za najlepszy uznać zechcą....

Nie tylko więc sławę i męstwo obnosi I. brygada Legionu po polach, górach polskich i nizinach, nie tylko wpłata swą krew w nigdy niezapomniany obraz Ojczyzny, — wiezie również ze sobą w obtłuczonej skrzyneczce myśl bratniej równej gospodarki, myśl pełną serdecznej miłości i głębokiego marzenia.

KWATERY.

Nie wiecie skąd idziemy, ani dokąd! Idziemy w rygorach wojennego rozkazu, niosąc na pola srogość śmierci, podstęp do lasu i ogień we wieś....

Nie wiemy, coście dotąd za życie pletli, które was żarło zmartwienie i jakie łączy pokrewieństwo, a tylko was i nas brata wspólny wróg.

Wy ludność i my żołnierze!

Bezbronni gospodarze zbrojnych gości, niema dla was podzięk, tylko skoczny humor postoj, uczta, kawalerskie ostróg dzwonienie, błahy a czarujący uśmiech żołnierza. Póki w ten wywczas nie trzaśnie nagle, jak piorun — rozkaz wymarszu.

Przytuleni do ciepłych okien waszych domów patrzycie, jak na ulice wylęga żołnierz, ślecie mu giesty i spojrzenia pożegnalne — lecz was nie zapamięta. Wy, wasze domy, twarze, jedzenie, potrawy, bety, poduszki, wszystko to wpletło się w wir szybkich wspomnień wojaka....

Najśłodszy jest pobyt wśród was, gdy się nań zapracowało szturmem, śmiercią i krwią. Czuje się was już podczas bitwy w zajętem przez wroga mieście. Mury jego i kościołów wieże poniesie, jak szczęście niedościgłe, ten, kto się w szeregu, śmiercią uderzony, wywrócił.... Mury waszego miasta i kościołów wieże tańczyć będą na śniegu przed oczyma rannych....

Hałasem strzałów krzyczy ku nam wróg z za murów tych, lecz my wiemy, że wy tam, biedacy, ciszę zachowujecie śmiertelną i najdroższą....

Chłopaki wasze włóczą się po szkarpach miejskich, widzą nas z daleka, wszytych w ziemię, widzą ogniste pręgi naszych salw, widzą nas, małych ludków, w czapkach roga-



NA KWATERZE.

tych, jak hycamy po śniegu. Drapią sobie ręce do krwi, gdy się któryś z nas wali na ziemię i jak małe goryle tłuką się z radości pięściami po piersiach, gdy wali się Rosyanin....

Potem lecą z powrotem jakąś cudowną drogą chłopięcej przebiegłości, wracają do domów i tu cicho szeptem mówią o starszych swych braciach: oni się niczego nie boją, mamusiu, tak biją! Widziałem ich. Ja ich widziałem.... Widziałem Strzelców....

Słysząc, jak się po polach zamiejskich sypie czarny groch śmierci, ulicami miasta jedzie krwawa nasza robota, — wozy z rannymi, jedzie srogi nasz gniew — wozy ostatnie płachtą ponuro nakryte....

Przychodzimy do was nazajutrz na kwatery.... Kręciliście się cały dzień, na ratuszu wrzało od rady i uroczystości, biegniecie naprzód na drogę. A na tej drodze wieczorem.... Już idą....

Zamarło wam serce w piersiach i witać nie możecie zrazu.... Jedzie Piłsudski w szarym kubraku na pocziwej złotej kasztance, jadą jego oficerowie zdrożeni, sunie potem kolumna....

Wchodzić do zapracowanego krwią i śmiercią miasta polskiego, mijać ludzi objętych wielką ciszą wdzięczności, iść ziemią, drogą, z której wyгнаło się wroga i usłyszeć, gdy się ludzie już w sobie zbiorą, ów krzyk wzdłuż drogi wichrem biegnący, owo niesłychanego szczęścia pełne: Niech żyje Piłsudski! Niech żyją Strzelcy! Niech żyją Legiony! Oddziały wchodzą w ulice miasta, na chodnikach tłum macha rękami, płacze i krzyczy.... Jakaś czarno ubrana kobieta, matka zapewne, odnalazła w szeregu swego chłopaka, leci za oddziałem po błocie, przez łyzy się śmieje i woła nieustannie: Zygmus! Zygmus.... Zygmus....

A Zygmus sparł się w sobie, raz tylko machnął ręką ku niej i idzie dalej, jeno mu karabin na ramieniu dygoce, wstrząsany słodkim płaczem.

To ci kwatery!

Ze wszystkich stron, z nieba, z pod ziemi, z murów, z kamieni, zewsząd zjawiają się poduszki. W każdym domu kuchnia aż trzeszczy i grąży się w niebieskim dymie smażenia wybrednych. W każdym domu zasiada do stołu po kilka niebieskich mundurów.

Wojaki głaskają zalotnie śnieżny brzeg obrusa, kopią się pod stołem na widok wnoszonych smakołyków i świadczą paniom naiwne komplementy.

To ci kwatery!!

Na drugi dzień u fryzyerów procesya i ścisk — wilcze łby, chropawe gęby obrabia zdolny żydek. Oto prosty rozdział trysnął na boczku wypomadowanych jak posadzka włosów, oto lekki puder słodzi marsowe oblicze.

Do cukierni! Do prawdziwej cukierni, gdzie się napijemy żywej, nie „konserwowej“ kawy, za pieniądze.... W cukierni już od 11 rano niema ani jednego ciastka. Tam pije się kawę, a wzruszony cukiernik chodzi z albumem i prosi o autografy, podczas gdy tubylcy robią polowanie na gości obiadowych.

Zwierzyna jest roztropna i wytrawna.... Daje się zabić dwa, trzy razy.... Zaproszenia przyjmować należy uważnie, by nie pomylić.... O godz. 12^{1/2} na własnej kwaterze, o drugiej u doktora, o trzeciej można jeszcze zdążyć do aptekarza....

A teraz podpisać się w albumie wzruszonego cukiernika. Zamach się do tego bierze piekielny i szast, aż pióro bryźnie. Wyższy oficer podpisze się statecznie, równo, doktor niezrozumiale, a kawalerzysta wściekłym galopem.

Drogi albumie cukiernika, księgo skromna — ileż z twych podpisów świętą się już stało pamiątką!....

O wieczorze nie mówmy... Mars i Amor pogodzeni sprawują swe obrzędy. Mars prowadzi apel na kwaterach, a potem gdzie?... Nie wiem gdzie, wszędzie, prowadzi swe apele Amor rozkoszny....



SIERŻANCI PROWANTOWI

Jeszcze weselsze od tych są kwatery na terenie spędzonej nagle kawalerii nieprzyjaciela. Wyjechał se taki oddział bezpiecznie na naszą drogę, aby pogospodarzyć.... Wycisnął plebanie, wycisnął dwór, oskubał chłopów i powiada, zapasy będę robić....

Powiada — zwieźcie mi tu owies, tam krupę — powiada — rządę, to muszę mieć! Regularnie to musi być i porządnie.... Nawet papier na to ma.

Więc wójt, więc władza, gmina, rada.... Podzielili ciężar między sobą, wszyscy się wzajem obelgali, bo każdy ma jeszcze resztę zakopaną w ziemi i robią temu piekielnikowi — ziemię obiecaną. Klną jak cholery, plują przez zęby, z sykiem jak żmije, ale ziemię obiecaną, siedm krów tłustych, muszą zrobić.

Tu mi — powiada — złożysz owies — i miarę do tego ma i mierzy.... Tu mi zwał siano....

Niosą chłopcy w workach te złote ziarenka końskiego zdrowia, każde ziarnko owsa — kropla potu.

Zwożą siano i aż się samym jeść zachciewa z tej żalości. Baby kurę warzą w chałupie — psia krew jeść — powiada — chcę dobrze.

We dworze zasiadł, rozparł się, papierosy pali — „da, da“ — powiada, a pani domu kotleciki rychtuje i cnoty chrześcijańskie przepowiada, by bliźniemu naglej a niespodziewanej śmierci nie życzyć.

Zaś na plebanii — Polak był — księdza proboszcza oficer na bok odciąga i serce mu otwiera — obaj płaczą....

Aż nagle obok na górze psuć się zaczęło, w lesie kurz, trzask.... Zaś od tamtej strony wraca kupa ludzi i koni pomięta.

Strzały huczą śmiechem okrutnym — ho, ho! ha, ha! — coraz bliżej, coraz głośniejsze podstępują. I z drugiej strony stanął i z drugiej strony ogniem się śmieje, ho! ho! ha, ha! — i ołowiec....

Ci uciekają, a tamci za nimi pędzą, smoki najdroższe, dzieci

słodzutki, chłopcy straszliwe w kaskach sławnej Legendy narodu na głowach i honor wszystkich polskich kawalerji w ich pędzie furczy....

To ci kwatery!!!

Ten owies, co go se złodziej narychtował, żuje twój głodny koń, aż śliny ci pełno w gębie, gdy słyszysz, jak twój koń żre.... Tę kurę, — co sobie warzył, — zasiądziesz i chłopskie dzieci przypuściwszy do twego garnka, chrupać będziesz, po udach się bijąc ze śmiechu. Te konserwy, które sobie ciura „jego“ podgrzewał, bierzesz do rąk, odczytujesz na nich napis i wzruszasz ramionami.

We dworze właściciele aż miękcy ze wzruszenia.... Na łóżkach, na kanapach siedzą oficerowie, każdy jak kwoka ogarnia ramionami swój dobytek, troczki, pled czy koc, nie wiedzą jeszcze, że tu każdy dostanie swoje spanie i że gospodarz — nie świadom wojny obyczajów — pożycza czyste chustki do nosa, częstuje papierosami (Wersalczyk!), wreszcie ręczy, że w jego domu nic nie ginie....

— Niechże szanowny pan powie, że dotąd nic nie ginęło — zauważy któryś z bezwstydných oficerów.

Jakże miło, rozkosznie spoczywać na jeszcze ciepłych śladach wyganego wroga!

Zaś kiedyindziej — nie słyhać pieśni.... Cofamy się.

Idziemy w tym deszczu i mgle, jakbyśmy się cofać mieli na koniec świata. Żal odwrócić się i spojrzeć poza siebie na kolumnę.

Ludzie idą spracowani w poczuciu, że nie przyniosła pożytku ich wielka, krwawa robota.

Wicher zabiega nam drogę i szarpie nas.

Niechże przestanie!

Przeglądać się nam teraz łącno w błyszczącej między brzdami wodzie gościńca. Patrzymy tylko przed się, by nie widzieć naszych dawnych przyjaciół.... Leżą rozparci, ze szklanymi oczyma, w szarugę nieba zapatrzeni — nasze zmęczone, zastrzelone konie.

Goni nas srogi, nieobjęty duch wojny, kurząc za nami dymem i dziwowiska płatając okrutne na horyzoncie. Tam na granicy widzenia, jakby u granic wszelkiego czucia, rozgrywa się codzienne przysłowie wojny.... W pomarańczowym blasku rozsypują się na proch brunatne chałupki. Widać ludzi jak czarne malutkie pionki, poruszających się leniwie.... Zaś wysoko, niczem złote kudły czy kłaki, błyskają jasne strzały armatnie.

Przed nami ciąg karaluchów, przed nami, obok nas — bo my jedni jesteśmy prawdziwymi ludźmi, bo mundur nas obciska, bośmy w formie walki — przed nami i obok nas drepcze tłum rozbitków, wygnańców, uciekinierów.

Tylko my jedni idziemy — gdyż krokiem naszym rządzi wspólny rozkaz — tamci krocą, niosąc coś w rękach, na plecach, na piersiach, w zębach....

Zaś pewien człowiek okrywa ramionami małą białą trumienkę dzieciątka i tuli ją do piersi uciekając, cała rodzina za nim — niepotrzebni, straszni, sentymentalni!....

To ludność....

Biegnie po polach, bo byśmy ją rozdeptali na gościńcu, gdzieś gubi się po drodze i bezpowrotnie wrasta w noc....

Żal nam opuszczać krwawiący horyzont. Byliśmy tam, leżeliśmy tam, niczem rozprażona sztaba żelazna....

Teraz mamy iść odpocząć.

Zgaśliśmy i jak poćwiartowane kawały potwora to się zrastamy, to rozlatujemy w mrocznym marszu.

Słyszę, że komendant wywołuje głośno moje nazwisko.

Urodziło się ono naprawdę dopiero w czasie wojny... Teraz dopiero żyje ono.... Słyszając je, zamieniam się w prężność, w odpowiedzialność, w stanowczość.

Wzywa mnie ono i obowiązuje nieodwołalnie.

Mam wziąć z sobą kwatermistrzów i pędzić do miasta, znaleźć kwatery dla oddziału, który pociągnie tam za dwie godziny.

Żaden rozkaz nie wzrusza, nie krępuje i nie niepokoi tak,

jak ten.... Jest w nim możność uczynienia dobrze, jest w nim możność szczypty ukoju i słodyczy dla tylu tak straszliwie znużonych.... Rozkaz ten całą bezdomność ludzi wojennych wali na barki kwatermistrza. Przemienia się człek, póki kwater nie znajdzie, w jedno zabłąkane, niespokojne bezmiejsce.... Zaś gdy przypomnisz sobie, że i dla koni muszą być kwatery!.... Dla tych zwierząt, które są tak potrzebne i równocześnie tak niezaradne, że o jakąś celową głupotę, czy symulację się je podejrzewa?....

Ruszyliśmy z kopyta, zostawiając za sobą, niby niezliczonych ust wilgne szeptanie, — grzęznący cicho w błocie marsz piechoty.

Jedzie się godzinę, dwie, szuka się choćby jednego znaku życia w opustoszałej okolicy. Nic — tylko czarna noc, wichher sztywny, a w krzakach, w gałęziach, w zamarzłym wzroście przyszłej wiosny, — której czy dożyje, nie wie nikt — żal jęczący.

Dopiero przy polnej drodze, niby złotą igłą, wykłuwa się nikłe światelko chałupy. Zajeżdżamy na chwilę. Konie się pod wiatr przy płocie stawia i puka się....

Takby się pukało do braterskiego serca....

Otwiera się drzwi skrzypiące.

Takbyś otwierał drzwi odzyskanego skarbcu....

I nie wie, co to szczęście, i nie wie, co to radość, kto w mundurze żołnierza polskiego, przemarznięty na kość, nie wszedł do chłopskiej chaty.... Ognisko płonie, baba nad garnuszkiem mleka czuwa, a chłopaki patrzą na ciebie z zapiecka, patrzą, jak żadne kochanie nie patrzyło — prostem chłopskim marzeniem całego wieku....

To jest prawda....

Serce ci bije klusem, galopem, boś jest żywy obraz żołnierza polskiego, co zbłądził pod te strzechy przekłete niewolą wroga, i gdy pijesz owo mleko bielutkie w glinianym chropawym garnuszku, — jakbyś spełniał bezcenny puchar Zdrowia Narodu....

Już czas, czas, czas!

Cóż dopiero, gdy, owiany mroźną smugą na podwórku, po którym srebro księżycy płynie, widzisz, że najmłodszy synek w porteczkach parcianych wyrzekł się twego widoku, ofiarował go sprawie dobrej i czuwa nad twymi końmi i głaszcze je po nogach maleńką ręką....

Dojechaliśmy do miasta. Szukamy wójta, sołtysa, stróża, kogokolwiek, kto ma bodaj najluźniejszy związek z rządem tego miasteczka.... Ulice puste, domy zamknięte, bramy zamknięte, tylko wiatr pędzi bez tchu środkiem gościńca i dygocą jakieś żelaziwa....

Zwидуje ci się gromada braci twych i to, że wszyscy są spokojni o kwatery, boś ty wyjechał naprzód.... Zwiduują się jakieś chwile dzieciństwa. Ciepłe, małe łóżeczka i ten uśmiech twardy, iż na to nas wtedy grzano, chowano, na tę dumną, waleczną poniewierkę....

Więc szturm od domu do domu. Szturm bezwzględny. Zajeżdżam pod okna, walę gardą w okiennice.

Dwaj inni walą od tyłu we drzwi.

Otwierać!!!

Nikt i nic.... Kładzie się człek na siodle, wypuszcza zdręt-wiałe stopy ze strzemion. Dłużą się nasze cienie na gościńcu obce i zabłąkane.

Nareszcie drgać coś poczyną w ciemnym wnętrzu szyb.... Uśmiechamy się złośliwie.

No, wstał już łajdak (każdy człowiek w domu spoczywający jest w danym momencie dla kwatermistrza łajdakiem). Szara twarz majaczy za szybą.

Wyłazić tam, wyłazić!!!

Staje we drzwiach jakby wcielenie snu małego miasteczka, ktoś szary ze sznurków, z waty i z starej wełny uwity, ochryply i drżący.

Ile macie miejsca?.... Ile pokoi? Otwierać stajnie!

Gospodarz jęczy. Bieży mu na pomoc głos żony....

— Gdzie tu jeszcze można kwaterować?

— Nigdzie.

— Nic mnie to nie obchodzi. Tu u was będzie kwatery. Musi być!

Ochryplym, jadowitym głosem powtarzam: Musi być i musi być świeża słoma dla sześćdziesięciu ludzi.

Wiem, że wzniecam czarną intrygę. Gospodarz zdradza swych najbliższych, byle samemu sobie ulżyć doli. Okazuje się, że tam jest dobre mieszkanie i ówdzie i jeszcze gdzieś indziej.

W przeciagu pół godziny kazaliśmy miasteczku ożyć — i nie-szczęśne ożyło. Wójt, jak zbrodniarz szedł przed nami wszędzie, a stał się praworządnym, odkąd i jego dom zajęliśmy na kwatery.

Miasteczko było żydowskie, fantastyczne. Zrywali się starcy, niby siwe Abrahamy, Ben Akiby. Snuć się zaczęli po trzęsących schodach, ze świecami w ręku szli wzdłuż czarnych okien kiwać białymi brodami na progach krzywych domostw.

Jakaś stara, atłasowa Jerozolima.... Żale za czemś, co wszyscy już zapomnieli i brak radości z tego, co wszystkich cieszyć powinno. I skąpa oszczędność, przygnieciona mosiężnym lichtarzem Obrządku....

W izbach, z piętrowych betów, jak głównie płomieniste wychylały się czupryny rudych dzieci, a w uchylonych tajemniczo drzwiach, albo w oborze spotkać było łatwo młodziutkie dziewczęta, biblijne, pełne wdzięku i nieustraszonej kłótności.

Tryumf mój był zupełny. Na rynku cudną koroną złotoczerwonych palm płonęły ogniska, oświetlone domy nabrały ciepła, gościnności, powszędy słyhać było szelesty siana.

Nie zawsze jednak tak bywa. Bywa, że stanąć wypada w miejscowości umarłej....

Napróżno wówczas kwatermistrz ciska się konno od domu do domu. Jechać będzie ścieżką wśród zastygłego sadu,

sine gałęzie w twarz mu dadzą mściwie, stanie przed chałupą i huknie: Jest tam kto?... A tylko mu ściany odrzekną echem, — jak w starym poemacie, — kto?....

Bo chałupa pusta, sztywna i opuszczona — jak trup.

Zawróci w bok, ciśnie się na lżę światła w oknie. Wychodzi naprzeciw to, co chodzi tu od tygodnia (od tygodnia czy cały wiek), co błądzi drogami dokoła — zgroza straszliwa, zjawisko polskie: stara baba, o rękach harpii, oczach nieszczęścia przez lży wyżartych, a ustach....

Panocku, panocku — jęknę.... — Ty się cofniesz, a jeszcze jęk za tobą pobiegnie.

Tu będą żołnierze spać po trzydziestu w jednej chałupie, a nad nimi, w łóżku jedynem siedmioro dzieci, niby anielski chór w czółnie prostaczem.... Tu w szarej karczmie zlepi się w jedną bryłę wilgotną pół batalionu, a mroźny wiatr grupę z niego wyrzeźbi sztywną i bolesną. Tu w popalonej szkole staną konie, a zaś kwatermistrz wyszykuje dla reszty oddziału dwór.

Sale się puste grążą w świetle księżyca, echo kroków ujada w korytarzu. Wściekłość ogarnia kwatermistrza, bo w salach tych niema literalnie nic. Tylko na którejś ścianie wygląda z ram twarzyczka młodego dziewczątka, opasana dokoła, niby kłosami bujności niesłychanej, kłosami z tamtego świata — wielkim warkoczem złotych, przed trumną uciętych włosów....

Nic więcej niema we dworze, tylko za szkłem, jak za wodą przedziwną, ta jedna blada twarz, ten jeden uśmiech spłoszony, to jedno wytarte spojrzenie.... Tylko ten jeden życia wieniec pośmiertny i mróz....

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM.

Wyszykowały się na rynku Nowego Sącza wszystkie bataliony I pułku równym, poważnym frontem.

Pada komenda.... Sino-niebieski pluton za plutonem na zakręcie placu wyłamuje się z frontu. W kilku chwilach wielka kolumna czwórkowa gotowa już jest do wymarszu. Wymarsz smutny i radośny, konieczny, a przecież z takim zakłopotaniem przyjęty przez miasto. Chciało mieć Legion u siebie na wili.... Mieszkańcy drzewko żołnierzom wyprawiać mieli....

Widać w oczach ludności, zalegającej chodniki myśl szczerą, delikatną i jakby pewne zawstydzenie, że gdy oni tu w mieście wilię będą obchodzić, my tam gdzieś w polu... w okopach, w szturmie, lub już ranni....

Orkiestra gra „Hej strzelcy wraz!” Szeregi, rzekłbyś, jeszcze silniej same w sobie okrzepły.

Na czoło kolumny wjeżdża podpułkownik Kazimierz Sosnkowski z kilkoma oficerami. Jakaś pani wyrywa się z tłumu, podaje białe chryzantemy, chce coś powiedzieć, ale ucieka. Dalej występuje z grupy szanowny siwowłosy delegat, odkrywa głowę, ma przemówić.

Cisza się rozpościera nad rynkiem. Sędziwy delegat patrzy przez załzawione okulary, chryzantemy się bielą na siwym mundurze dowódcy, aż w ciszy tej i powadze rozstania stary jegomość zaczyna: W imieniu tych....

Wiemy, z tak dawna wiemy.... W imieniu tych wszystkich, którzy tak długo czekali, póki nie zaczną „nasi bić w tarabany“.

Słońce zachodziło, tchnąc na twarze tkliwą jakąś łunę i krwawiąc w listkach ofiarowanego kwiatu.



PLUTON PODPOR. SKARGI (+).

Ruszyliśmy drogą do Zbyszyc na Paleśnicę. Drogą, jakiej nie streści żaden poemat i nie zawrze w sobie najlapidarniejsze słowo. Drogą i krajem, gdzie bili się ludzie.

W rowach przydrożnych leżą nieszczęsne, pocharatane konie, w dolinach wyświechtane łysiny ze słomy postojów. Na gościńcu, na polach puste blaszanki konserw, wdeptane w błoto naboje, to znów przez górę wyrznięta szara pręga okopów. Drzewa poranione, gałęzie ostro złamane wystrzałami, ówdzie dom z rozwalonym przez granat oknem. Pod nogami kałuże krwi rznętego bydła, kości, stare czapki żołnierskie i błoto.

22 grudnia 1914 r. ponure wietrzne południe zastało I pułk w okolicy Brzezia, skąd widać było lesiste piękne góry. Żołnierze szli wesoło, prawiąc wciąż o Bożem Narodzeniu, a na gwerze jednego z nich tkwiło drzewko, chyba najpiękniejsze. Jakie w tym roku ujrzyć można było w Polsce. W lufę karabinu zatknął sobie żołnierz gałązkę choiny, uwiesił na niej dwie kartki, które niedawno z domu był otrzymał, zaś gałązki, niby włosem anielskim, opasał żdźbłem słomy, najwierniejszej towarzyszki losów żołnierskich.

Teren, leżący przed nami, objęty był walką. Pewne jego przestrzenie zalegała podejrzana cisza, z innych rwał ogień karabinowy, niczem nieustanne trzaskanie suchych biczów, biegnące ze świstem, aż ku nam.

Mieliśmy wyprzeć nieprzyjaciela z pozycji, które rano przeważającą siłą odebrał, opanować Meszną Szlachecką i wzgórze, odnośną na karcie znaczone cyfrą.

Jakże innych barw nabiera krajobraz, gdy walczyć wśród niego wypada, w jak zagadkową moc przyoblekają się cyfry wzgórz, gdy mają się stać miejscem zwycięstwa lub śmierci!

W las, który wziąć należało, prały już szrapnele naszej artylerii.

W bujnej toni wzgórz łyskały się krótkie blaski wybuchów armatnich, pociski nieprzyjacielskie zaciężyć chciały nad mrowiskiem do boju idącej naszej piechoty.

Atak prowadzony przez majora Rydza obciskać jął wzgórze. W szczegółach wykonywali zadanie K. Drewniak i Bukacki.

Pierwszy sunął wolno swą linię tyralierską naprzód, pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych, drugi pod wzgórze zachodzi z boku.

Nieprzyjaciół naciskany z dwóch stron, tu przewagą ognia, tam uwikłany sznurem naszej tyraliery, nie wytrzymał szturm, prócz strat dając nam przeszło czterystu jeńców. Nasz oddział atakujący tak się rozochocił, że patrolami sięgał w nocy daleko poza własne pozycje. Wtedy z siedmioma ludźmi podoficer Świdorski wziął do niewoli wyższych oficerów Benderskiego pułku z pułkownikiem na czele, ogarniając ich w budce drożnika, przy stacji telefonicznej, już na stronie rosyjskiej. Prócz pułkownika wzięto także dwóch kapitanów, dwóch poruczników, trzech podporuczników i dwudziestu osiem ludzi.

Noc już była zupełna, gdy ściągać się jeły rozgłośnie tętna walki ku jej ośrodkowi, źródłu, t. j. na odprawę do kwatery podpułkownika Sosnkowskiego.

Ściągano tam wśród gęstej wilgotnej nocy, wśród ciągle nowych oddziałków z jeńcami, między rannymi, których niesiono „do doktora R.” — gdyż każdy chce, by go dr R. opatrzył.

Nasza prawdziwa polska bitwa: Na froncie gwałtowna kanonada, siedemnastoletni strzelcy we dwóch, we trzech odprowadzają po dwudziestu, trzydziestu jeńców rosyjskich, chłopów, jak tury. Tu wyklinanie, tam ktoś woła „A to ci wesołe święta“, tam znów „Kazik żyjesz?“ „Żyję.“ „Nieprawda.“ I w odpowiedzi radosne „Jak Boga kocham“.

U podpułkownika Sosnkowskiego zgorszenie wśród oficerów, że się dowódca z karabinem między żołnierzy wdał i szedł do szturm.

Na podwórzu tłumi się i wciska w stodołę dyżurny pluton kawalerii. W sieni nieomal jeden na drugim stoją ordy-



KARABIN MASZYNOWY I. BRYGADY W POLU.

nansi batalionów, każdy się z męstwa swego baonu spowiada. W izbie maleńkiej chałupy przy trzaskającym kominiem — zgromadzenie, jakiego tyle lat nie znała Polska.... W półmroku, półświatle, gęsto półkolem stoją oficerowie, zdają relację i biorą na jutro tę rzecz wśród sumiennych żołnierzy polskich niezawodną i nigdy niezawodzącą: Rozkaz. Do snu kładł się już podpułkownik, gdy wprowadzono jeńców-oficerów rosyjskich. Weszły tedy grube rosyjskie płaszcze i te tak dobrze znane, na bakier zarzucone czapki. Nienawiść na śmierć i życie weszła do izby....

Wywiązała się rozmowa między naszym zwycięskim komendantem i tamtym, któremu dziś rozbito dwa bataliony, pokonanym. Dowódca rosyjski widocznie nie mógł się pogodzić z tą myślą, że walczy z Polakami.

„Poddani tego samego państwa“....

A dotkliwa prawda, że u tych poddanych siedzi na łaskawie użyczonym zydelku w niewoli, odbierała mu właściwie wszelką możliwość porozumienia się.

Dwudziestego trzeciego grudnia strzelanina na rozwijającym froncie poczęła jeszcze wzrastać. Dnia tego ostatecznie rozprężyć się miała zmija naszego ognia i przyjąć, wstrzymać jej wypadło masę rosyjskiego naporu. Front wyciągnął się tak dalece, że pchnięto weń wszystkie rezerwy.

Poszli trzymać wawozy, by się w nie, niby napór ziemi, nie wcisnęły szare kolumny rosyjskie, na lewo komendanci Olszyna, Fleszar, Grudziński; na prawo jeszcze dalej się posunął komendant Ryłski. Około godziny jedynastej rano brakowało już amunicji. Szeregi nasze strzelały z karabinów rosyjskich, których podczas walki poprzedniej zabrano bardzo wiele.

Walczące strony zbliżały się do siebie, gryząc i szarpiąc coraz zajadlej. Zwłaszcza na lewym skrzydle gwałt akcji nieprzyjacielskiej powiększał się. Dochodziło tu do szesnastu ataków na bagnety.

Ogień artylerji, rzecz prosta, opuścił walczące z tak bliska

fronty i szukał rezerw. Straszni wyrwami ziemi rzucał po zaroślach, słupem rozdartej gleby pędził po stoku, to znów zaciął się wałąc tuż obok chałupy, w której całą arcytrudną rozprawą kierował podpułkownik Sosnkowski. Kierownictwo mozolne, ciężkie przy wyciągniętym froncie i bez rezerw, gdy nieprzyjaciół, mimo niezmiernej straty pcha się naprzód i zmieniać może swe siły.

Chałupa drży od wystrzałów, otacza ją zewsząd jak strun zrywanych brzęczenie, syk kul karabinowych. Przed dowodzącym, kupka pomiętych świstków — to meldunki z linii ognia. Pod ręką blok do pisania rozkazów.

Ordynans, który tylko co wrócił od swego oddziału, drży jeszcze z gorącego podniecenia walką. Utyłłany w glinie, za paznokciami pełno ziemi. Nie paznokcie to są już, lecz pazury.

A usta spękane, granatowe.

Są już w ogniu dwie doby i jeszcze nic nie jedli.

Nic prawie niepodobna dowieść. Wozy się w nocy pną pod górę (z daleka w dole jak sznury złote drżą światła Tarnowa), sierżanci prowiantowi pochrypli od krzyku, z koni dech ostatni wypierają, lecz przemożne błoto wsysa całą tę żmudę bezpowrotnie.

Ordynans wraca „na linię“ z karteluszką w garści. Jest on jednym z tych węzłów małych, a ważnych, przez które myśl i zdolność dowódcy dobiega frontu, by tu ogniem wybłysnąć.

Ataki nieprzyjaciela na nasze lewe skrzydło, jego chytre przebiegłości wśród wąwozów, cała jego praca dzisiejsza zostaje udaremniona. Bataliony Satyra, Olszyny, Grudzińskiego stoją twardo, jak ich dowódcy i nie uradzi im wyborowa dywizja piechoty, specjalnie na sforsowanie odcinka, przez nasz Legion zajmowanego, przysłana.

Wrogie linie już dwie doby leżące naprzeciw siebie, poczynają wśród strzałów rozmawiać ze sobą, dzieli je bowiem przestrzeń trzydziestu do czterdziestu kroków.



ROTMISTRZ BELINA (+ +) I PORUCZNIK DRESZCZ (ORLICZ) (+).

„Poddajcie się“ — woła nasz. „Sybirskie strzelki nie poddają się“. Inna rzecz, że w boju na bagnety te sybirskie strzelki nie mogły wytrzymać odwagi i siły ducha naszych żołnierzy. Ogromny drab padał na kolana przed małym strzelcem, wołając: Nie zabijaj panoczku.

Po całej linii z ust do ust idą wśród ognia „ostatnie wiadomości“. Ten padając krzyknął: „Niech żyje Polska! Legioniści naprzód!“ Tamten się dziwi: Żebyś wiedział, jak bagnet miękko wchodzi w ciało.... Inni ubolewają, że Belina został ranny na progu kwatery podpułkownika Sosnkowskiego, gdy szedł ze skargą, iż jego kawalerya w tym boju współpracować nie może.

W ogniu i huku dział zapada czarna noc.

Dnia 24 grudnia 1914, słodkiego dnia wili, bój nie zelżał ani na chwilę.

Do kwatery dowódcy coraz przybywali oficerowie „po sytuacji“, dzielnie spokojni. Trudno inaczej powiedzieć jak tylko, że czar polskiego uporu i wytrzymałości, że najwyższa cnota wojenna spełniała się tego dnia, zwłaszcza, gdy na centrum pozycji przypuścili Rosyane szturm, przygotowany piekielnym ogniem artylerii walącej w okopy.

Tam właśnie, mając obok siebie rannych i zabitych w okopach śmierci i bohaterstwa bronili się nasi żołnierze, póki pysznym atakiem na bagnety nie zgarnął Rosyan ze wzgórza komendant Kuba-Bojarski, biorąc do niewoli kilkudziesięciu jeńców.

Kuba-Bojarski tegoż dnia, ugodzony śmiertelnie kulami karabinu maszynowego, był typem oficera polskiej piechoty.

Przecacny w stosunku do żołnierzy, nieustrudzony w marszu, twardy dla wroga, stanowić będzie wzór, z linii tych samych, co to lat temu z górą sto, drogą na Egipt do Polscy maszerowali.

Wieczór wigilijny zastał nas w boju na posterunkach. Jakoś między jednym meldunkiem a drugim, skorzystał z chwili porucznik kawaleryi Orlicz (było to na kwaterze

podpułkownika Sosnkowskiego), oznajmiając, że ma ze sobą opłatek.

Oficerowie mieszała się, podporucznik Dzieduszycki piszący rozkaz pochylił się nagle nad stołem, drgający uśmiech owinała usta wszystkich. Mimo ryku ustawicznych salw, łamanie opłatek słyszeć było tak cicho i wyraźnie, jakby słyszeć można było samo szczęście, gdyby widomem i namacalnym dzielić się mogli ludzie między sobą z ręki do ręki.

I znów bezsenna noc trzecia. Przychodzi rozkaz dywizji, że cofać się mamy z zajmowanych dotąd stanowisk. Powoli wywlekają się z okopów pojedyncze sekcje i plutony.

W lesie śmierdzi prochem i cikliwą wonią trupów.

Powoli ostyga straszliwa linia. Kilka oddziałów ściągnęło już na drogę. Sanitariusze unoszą rannych, bolejąc nad śmiercią męznego kolegi Koloszka (Buława), który zginął na posterunku.

Ranni I-go pułku prawie nie jęczą. Żołnierze mówią o pozostałych tam na tej linii, na zawsze.... Olbrzymia wiara w życie prześwieca w hartownym umieraniu naszych żołnierzy i w pamięci, jaka o nich zostaje wśród żywych.

Śmierć w szeregu polskim nie jest żadnym dylematem. Jest czemś, bez porównania mniej ważnym od zwycięstwa.

Drugi rozkaz dywizji każe znów objąć opuszczone pozycje.

Wróciliśmy na nie w nocy, wyrzucając nowych gospodarzy naszej placówki bagnetem.

Wyborowa dywizja rosyjska, specjalnie, jak to jeńcy zeznawali, na przełamanie tego frontu sprowadzona znów, wśród trzasku karabinów leżała całą noc przed cienką linią I Legionu bezsilna.

Nazajutrz 25 grudnia, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, przycichło.

Gęsta mgła nie pozwalała na walkę artylerii, a ogień karabinowy osłabł. Koło dziesiątej rano przyszedł rozkaz z dywizji, iż będziemy zmienieni przez nowe siły, a przy tej



MAJOR ŻYMIŃSKI.

okazyi generał „Dowódcy, oficerom i całemu polskiemu Legionowi za jego nadzwyczaj mężny bój, z jakim Legion c. i k. wojska, oraz c. k. Obronę krajową wspomagał, wyraża w imieniu Najwyższej Służby najgłębsze uznanie i podziękowanie“.

Oddziały nasze zeszły z pozycyi, zostawiając przed sobą stosy nieprzyjacielskich trupów (w pułku rosyjskim Bender-skim po tych czterech dniach kompanie jego liczą dwudziestu do trzydziestu ludzi), u wroga sławę „atczajannych polskich achotników“, podziw wśród szeregów współwalczącej armii i najcenniejsze tak dawno, żołnierskim trybem, między sercem polskiem a ziemią nie wiązane ogniwo: z rany niesionego żołnierza, w świcie kul, w łomocie armat, na grudy spływającą krew.

Więź tymi rubinami nizana jest wieczna....

LISTA STRAT....

Złoty las przetkany czarną śmiercią, — kawalek papieru usiany drobnym czarnym drukiem, a między pierwszym i drugim Sprawa, Bój, Śmierć lub zwycięstwo....

Lista strat.... Tyle śmierci na małym, błahym świstku, tyle bólu, ran, krwi.... Chcielibyście dotknąć ręką tych mchów, w które wsiąkła. Obejść wszystkie miejsca, wstąpić do wszystkich rowów i wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej, wiedzieć wszystko....

Tyle śmierci na małym kawałku papieru, wszystkie już sobie podobne.... Imiona, nazwiska, jak ziarnka klepsydry płyną i sypią się cichutko....

Skąd wracają? Dokąd idą i kto je odprowadzi na ostateczny spoczynek, bo żaden Charon nie powiezie ich na łodzi kołyszącej, ani stronom świata roześle znak Krzyża....

Przeżyć się musi i przeżyje się wszystko, lecz jak przecierpieć? I to, że wam zwrócą list, który już nie doszedł, że wróci do was paczka, którą z uśmiechem najserdeczniejszej pamięci wypełniliście wszelką rzeczą drobną a kochaną, miłą i cenną.

Jak przecierpieć, że myśl tego nie zrozumie i bluźni bogom, ludziom, sprawom, bojom....

Tą śmiercią, ciemnym jej blaskiem, my żołnierze pijem sławę, wznosim zdrowie Ojczyzny!... Ogromna i codzienna, wzniosła a dostępna nie opuszczajże nas właściwa ceno zwycięstw!

Złoty las przetkany czarną śmiercią — świstek biały usiany czarnym drukiem.... Lista strat.... Tyle śmierci.... Imiona, nazwiska — skąd idą?

Młody porucznik Słomka miał lat dwadzieściadwa, a już dostał kompanię. Był silny, zdrowy, rośliwy i tęgi. Miał duże



Ś. P. KAPITAN HERWIN.

zielonkawę oczy, twarz różową, usta szerokie i głośnie i duże mocne ręce. Dowodził kompanią, odgrażał się, że mu się batalion należy, tymczasem kompanię jego ktoś starszy dostał i wysunęła mu się z tych mocnych, prostych rąk.

To nie martwiło — to żarło Słomkę.

Wnet potem stanęła I brygada I Legionu, niczem klamra nieugięta w górach pod Łowczówkiem.

Tu nastał raj dla Słomki.

Bił się i pracował w tej bitwie, on bezdomny komendant, za dwóch, za trzech. Mówi się, że ktoś pięknie idzie w bitwie. Jakże pięknie szedł, łapiąc w locie każdą robotę, wyjazd, meldunek i rozkaz. Walił mocnymi łydami konia i gnał wzdłuż linii ognia, rozbuchany, gwałtowny, sam ogniem buchający, — co mu tam ogień!...

Potem wracał do szefa sztabu i meldował, jak jest, co i gdzie. Żar walił od postaci Słomki, biło od niego srogością i szczęściem i pospiechem zajadłym.

Trzeciego dnia padł komendant batalionu.

Padł i nie powstanie, batalion musi mieć dowódcę, śpisz już kolego, więc nie przeszkadzaj, salwę ci jutro skomenderuję — a dziś....

Tą śmiercią, ciemnym jej blaskiem, my żołnierze pijem sławę, wznosim zdrowie Ojczyzny....

A dziś komendantem tego batalionu został Słomka....

Mówił przecie kolegom, że mu się batalion należy, cóż mu kompania, za szeroką ma garść na kompanię — sprawdziło się...

Wracał tedy komendant Słomka z głównej kwatery do swego batalionu, a że był nie jadł od trzech dni, a że mu się gdzieś orzechy nadarzyły — bo szczęście miał tego dnia — więc wracał wolno śnieżną drogą między pasmami złotego lasu i pogryzał. Śnieg mu pod prężną stopą chrzęścił jak perły miażdżone, niebo nad głową gnało potargane, w chmurach, w łachmanach, dziadowskie, jak na tę radość szaloną....

Bo w samym Słomce rozrównienie, miód najmłodszej pychy i dumy, kwilenie, kolenda, śmiech.... Co mu tam, że kule świszczą koło uszu, co mu tam ogień, sam ogniem buchający.... Niósł tedy w czapce te orzechy (szczęście miał tego dnia) i gryzł, pojadał, rozplamioną głowę na wicherze studząc.... Młody Zygfryd — że dorwał się nareszcie szczytu....

Zaś właśnie wtedy.... orzechy z czapki wypadły, czapka się w bok potoczyła, a młody komendant pozostał na tym śniegu, na tych perłach zmiażdżonych pod złotymi strzępami lasu, z wilgłym rubinem na czole....

Złoty las przetkany czarną śmiercią.... Chcielibyście dotknąć tych mchów.... I wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej.

Lista strat, lista rannych....

Skąd idą?...

Wraca z patrolu bojowego, z przed linii tyralierskiej komendant Herwin. Idzie ich dwóch, on i żołnierz, który go podtrzymuje — a jakby cała procesja szła, czy jakaś uroczystość.... Idą mozolnie i trudno nie słyszeć, gdy się patrzy na komendanta i na tę fatygę okrutną, z jaką się pnie pod górę, na żołnierza podtrzymującego dowódcę, na uścisk, który ich łączy, trudno nie słyszeć, że już idą jak w pieśni „borem lasem“ wieczni Legioniści w niedostępnej pogodzie bohaterstwa....

Szef sztabu, podpułkownik Sosnkowski i ja spotykamy ich na skrócie ścieżki.

— Cóż to znaczy Herwin — pyta szef — jesteście ranni?

Herwin patrzy z góry na martwe swe ramię, jego niebieskie oczy powleka cień pobłażliwej nudy....

— Ach, tak — odpowie.

Ach tak — brzmi, niby dwa lekkie uderzenia wahadła, niby przypomnienie czegoś, o czym myśleć nie warto, jakby to rękaw rozerwała kula, nie ramię....

— Ach, tak — jestem ranny.

— Czemuż was nie odniosą sanitariusze? — pyta szef sztabu.

— Komendant i w piersi jest ranny! — wtrąca zapobiegliwie żołnierz.

A komendant Herwin, myśląc wciąż o boju, który tam pozostawić musiał, błądzi niebieskimi oczyma po uwiedłym lesie.

— Ach tak — przypomina sobie — i w piersi, lecz to głupstwo.

Ach tak — brzmi, niby lekkie uderzenie wahadła i tyle w tem jest pańskiego szyku, łaskawości, tyle siły i wdzięku, że się widzi, jak błahą drobnostką jest ramię strzaskane i rozerwana pierś — wobec walki....

Potem poszli na miejsce opatrunkowe, tu znów Herwin oświadczył pobłażliwie — ach tak, to głupstwo, — przeczekał aż innych opatrzą i przeraził doktora.... Bowiem się okazało, że ma część piersi zdartą i cała opłucna jest na wierzchu....

Ach tak — to głupstwo....

Idą do was te nazwiska z rowów, z lasów, ze śniegów i z pól uciążliwych. Na białej kartce pisze się długi bezwzględny list, który wam śle Sprawa Ojczyzny....

Myślicie, że to wojna krwawą pięścią wali do drzwi?

Broń Boże! Na progach domostw staje chwila błogiej siełanki — dlatego serca wasze tak się szarpią i biją — zjawia się cudny w Polsce czas, gdy niema czasu na nekrologi.

Więc w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie, na pięttrze i w suterynie, na falistej wstędze drogi kieleckiej, w krzywej chacie i obrośniętym dworze, jakby go jeszcze Andriolli śnił — wszędzie gdzie was dojdzie ta lista, ten list Ojczyzny świetny i bezwzględny, czytając go.... Czytając nasze nazwiska i moje, wnet czy kjedyś w ów sznur wplecione, czytajcie, jakbyście słowa potoczne czytali z owym gościem łaskawości, szyku i wdzięku.

Zaś skończywszy, powiedzcie, jak Herwin krwią broczący,
iżby to szło, niczem uderzenia wahadła — : Ach — tak....

Bowiem uderzenia wahadła przybliżają spiżowy dźwięk
Wielkiej Godziny, a wszystkie drgnienia bólu, których od-
mówicie sobie, przedzierzną się dalej gdzieś, wyżej, ry-
sami się stając godności i powagi silnego Narodu wa-
lecznych....



W OKOPACH NAD NIDĄ.

OKOPY.

Jedzie się do nas, idzie się do nas drogą nijaką, której niema.... Wyjeżdżają ją cichaczem, o zmroku, koła wozów to w prawo, to w lewo, że się czarnym wachlarzem różnych kolei w śniegu rozbiega.... To znów wachlarz się skręca i kolej prowadzi prosta, głęboko w bruzdę wryta. To znów droga się rwie i nie ma nic — prócz lasu, skrzypu drzew owisłych, sennych.... Prócz nieba, co nabrzmiała chmurą wiosenną przetacza się na wzniesionych dalekościach.... Prócz wiatru, co pędzi gdzieś i żenie cały ten świat i spędzić go nie może.... Prócz ciszy szumnej, pełnej głośnych i srogich tajemnic ognia....

Gdyby człek rzeczy nieświadom spojrział na drogę, ku nam prowadzącą, lub raczej spojrział na bezdroża, za którymi jesteśmy, nie widziałby więcej, — jak ciągle przeciąganie się nieba, jak ziemi rozmokłość przepaścista, — jak przegon i wydmuch polskiej, znużonej i zmordowanej roli....

Jest tu wszystko, jak wszędzie u nas w Polsce.... Bezdroże, poryw wichru gwałtowny a sprzeczny, wybujały a nieprzytomny.... Są mostki połupane, zdradliwe.... Są chaty, zbite tam i sam w gromadę, jak ule, wreszcie koło chat ule, ule w pniach, czepcem słomy nakryte, ule, z jakich chyba Piast jeszcze miód podbierał — ule, jak pochylone grzyby złote. Jest tu wszystko, jak wszędzie u nas i jedna tylko rzecz maleńka, znikoma świadczy, że coś tu się innego dzieje, niż zawsze.... Że tu myśl celowa krąży w pustce, w ciszy i opuszczeniu bezradnem....

Oto na polach i nad niemi, między chałupami i wedle płotów, krytych oksydowanym srebrem najszanowniejszej pałeczyny, przeciąga się, przebiega.... W lasku swej drogi nie

gubi i nad moczarem wywinąć się potrafi — popielato-
złoty, sztywny włos, przedziwo niewinne, a strasznymi skut-
kami rządzące....

Włos ten, tu zabłąkany, a wszędobylski, otacza szczególna
piecza i szacunek.... Gdy padnie na drogę, stronić będą
od niego zgrzytliwe koła ciężkich wozów. Nawet bezceremo-
nialna zazwyczaj w pochodzie swym, wszystkich i wszystko
rubasznie szturchająca kuchnia połowa, gdy go spotka, za-
trzyma się, westchnie raz, drugi kłębem dymu, ziewnie
ogniem i snując wątek smakowitych zapachów, wykręci
w bok.

Włos ten, gdy padnie na pole — podniosą go i ustawią
na tyczkach — takich wygod doświadcza!.... We dnie kła-
nia mu się nisko kawalerzysta, w nocy osadza gwałtownie
konia i słyszysz, jak przestraszony woła koledze:

— Drut! Drut!

Ten cienki drut telefonu, niby widome włókienko, niby nerw
niespożyty, obudzić może w jednej chwili gniewne gromy
armat i trzeszczący bełkot karabinów maszynowych. Roz-
winie wstęgę powietrza z sykiem nawijającego się na gra-
nat, rozpruje biały dzień przerażliwymi salwami piechoty....
On również sprawi, że nagle z krzykiem pójda ludzie na
bagnety....

Coraz bardziej pusto. Nie miejscowość, a jakieś — nigdzie....
Tylko widać na rozfalowaniu ziemi, między grudą a bło-
tem, w nadąsanej szarości wiosennych ciągów nieba i wzgórz
i wody, jakby dwie naprzeciw siebie spoczywające blizny
szaro-białe. Na razie trudno je rozpoznać, potem wszakże
widać całkiem dokładnie. Nie blizny to są, a jakoby rzęsy
zamknięte....

Drut uczeplił się chaty, która z kilkoma innymi otacza mały,
rozkopany plac. W jednym jego rogu stoją w potężnych
kaskach na bakier, ułani nasi dwaj. Z którychś drzwi wy-
biega piechur i gwizdząc wesoło, gdzieś dąży. Niesie w czer-
wonej chustce chleb i masło.



OKOPY NAD NIDĄ

— Wejść! — odpowiada na pukanie komendant batalionu. W izbie — jak w izbie, gdzie mieszka wojsko. Małe dzieci ogromnemi oczyma patrzą z kątów. Za stołem siedzi kilku oficerów i obgryza kości koguta. Ktoś wyciągnął łyżkę z za cholewy i zabiera się do zupy. Adjutant Suszkowski grzebie w kupie listów, kart. „Było tu coś do was, obywatelu, nie bójcie się — pamiętam“. Kapelan w jednej ręce trzyma czyjs mundur, w drugiej rozwarty brewiarz. Doktor melduje coś komendantowi batalionu. Dwaj podporucznicy, siedzący okrakiem na ławie, grają we „frygę“. Mała kostka przechodzi z ręki jednego do drugiego, warcząc złowrogo. Baba łamie chrust przy piecu. Chłop jakiś kłania się o przepustkę. Konie tupią za ścianą i słysząc głębokie no-o! ordynansów. Sierżant rozdaje paczki, a adjutant siedzi na polowem łóżku i gra na mandolinie.

Głosy się plączą, sprawy się spotykają i wyrównują — gitara drży, jakby z niej łyzy płynęły, nie dźwięki.

Nagle huk zatrzęsł szybami, konie się cisnęły w popłochu.... Słysząc wstęgę niewidzialną, jak pędzi po niebie i z sykiem jedwabnym rozwija się....

— Nasza bateria zaczyna, chodźmy zobaczyć.

Idzie się zwartą ziemią, nagle rozpoczyna się rowek nieznaczny, coraz głębszy, aż wreszcie mogący zmieścić i zakryć chyłkiem idących ludzi.

Przewody, wykręty, zakręty i zgięcia, ustrój jakiś, organizm cały wijący się po ziemi. Nareszcie wszystkie drogi sprowadzają do jednej, głównej, krytej miejscami naprzód zsuniętym daszkiem. Widać stąd bardzo dobrze okopy wroga. Unosi się nad niemi sinawą taśmą dym z kryjówek. Jakby długa, biaława gąsienica leżała tam naprzeciwko.... Złota iskra wyblęśla na jej kadłubie! Prysnał z niego słup ziemi....

Celnie bije nasza artyleria.

Jeszcze nie rozpełzł się w powietrzu szary łachman dymu, gdy z jęczącego nieba pada jedna ogromna iskra i druga,

trzecia i czwarta.... Cztery słupy ziemi skruszonej buchają z okopu, a nie ujrysz ani jednego człowieka.... Kto padł, ten leży, komu krew z ran uchodzi, tego odejdzie, lecz aż do zmroku nie drgnie tam nic, aby gniewu jeszcze większego ognia nie rozpasać.

Co krok, pod przykryciem w stojakach rzędy karabinów, co krok w szarym płaszczu, czapce rogatej piechur Piłsudskiego. Ni to wzgardliwy, ni to ciągle czemuś pobłażający, patrzy w stronę wroga z nudą i ziewaniem drapieżnika. Czeka cierpliwie, kiedy się te dwa okopy, niby usta wąskie i potworne rozewrą w ogniu i kiedy znów on, spokojnie i lekko jak kot — zacznie bić....

Wiatr dmie, maleńkie słupki piachu kręcą się pod nogami — strzelec stoi w żółtym okopie, jak szary szczur — jak kret sunie z miejsca na miejsce — ujrzał cel....

Patrzcie, bo to jest najpiękniejsza dziś w Polsce rzecz....

Jak zwinny Piłsudczyk, broń o strzelnicę wsparłszy, celuje.... Powieki drżą, niby maleńki motylek usiadł przy brwi. Za skrzętem mięśni na plecach tężą się fałdy szorstkiego płaszcza. Palec na cynglu. Powieka już ani drgnie, skrzy pod nią ostre dojrzenie, — cel schwycony....

A inni?

Część na okopach, druga zaś odpoczywa w okopowych mieszkaniach. Nie są to bowiem kryjówki, nory i lepianki — a „mieszkania i kwatery“, często opatrzone numerem domu, szyldem i nazwą. Tu na małych drzwiach, w jamę wstawionych, przeczytasz: „Pierwsza strzelecka fabryka żywych wędlin“. Tam dalej przybite na nieprzemakalnej szmacie, która zakrywa wejście: „Hawelka — Handel delikatesów“. Tam znów „Pod Palmą“. Bywają i bardziej groteskowe napisy — „Pod upieczoną wszą“ — i jeszcze inne.

Niech nikt nie myśli, że ustało tam życie towarzyskie. Przy wszystkich okazjach, z racji Święconego napewno odbywać się tam będą wizyty, jak w najnormalniejszym towa-



OKOPY NAD NIDĄ

rzystwie. Żołnierz-gość odchyli szmat nieprzemakalnego płótna, czy odeprze przymarznione drzwi i posuwając się na czworakach wetknie głowę:

— Cześć wam obywatele — zawoła, nie widząc na razie nic w mrocznej przestrzeni, pełnej dymu i zapachu sośniny.

— Co jest, do cholery! drzwi zamykać! — huknie głos z wewnątrz.

— To ja!

— A-a-a! Prosimy! Włóżcie.

Wówczas gość wtaczać się pocznie na czworakach, ostrożnie omijając co krok nogę czyjaś, but, koc, czy manierkę. Podsunie się do maleńkiego piecyka, przyjmie pewną stałą pozycję, naturalnie z uwzględnieniem wszystkich obcych ciał, ułożonych kunsztownie, a które uszanować należy i przyłączy się do zabawy.

Polega ona tu na gotowaniu herbaty, grzaniu wina, tam znów znajdzie się anegdociarz, który wspaniałe kawały opowiada, że kominkiem na okop śmiech leci z podziemia, jakby tam wszyscy dyabli rechotali. Ówdzie obmyśla się sposób na złapanie nieprzyjacielskiego patrolu. Tam grają w karty, tu pracuje „redakcja“ dziennika okopowego. Jeszcze gdzieindziej ktoś wprawnie gra na okarinie, a drobniutki głos instrumentu kluczy z pod słomy, jak małe świeże źródło....

Nadchodzi uroczysta chwila zmroku, gdy pod okopy zajeżdżają „feldkichy“ (Feldküchen — kuchnie polowe).

Jak to smakuje! Tak smakuje, że jedząc, oczy się szeroko otwiera, jakby się wielką jakąś prawdę połykało. To tak smakuje, jak tylko może smakować jedzenie komuś, kto w ziemię wkopany, wolą i męstwem swem na tej ziemi trwa, czuwa i pilnuje jej zrębów drogocennych. Trwa dzień i noc, choć humor tej ziemi — pogoda — choć życie jej, budzące się zwolna pod siew, wyciąga z pilnującego wszystkich sok jego sił i nuży i wytrawia i wycieńcza.

Nastaje noc ogromna. Ciemność grozą potężną spływa na

obszary. W ciemności tej, minąwszy sieci drutów kolczastych, zsuwają się w dół patrole. Jest to robota drażliwa i niebezpieczna.... Niech tu nie dźwięknie broń i niech się głos nie odezwie i niech się oddech nie zdradzi. Zaś oczy muszą widzieć jak kocie, a uszy muszą słyszeć wszystko w zimnym szepcie zamarzającej ziemi.

Nie wolno strzelać — żywcem brać....

Nie wolno strzelać, bo jeśli się ogień przebudzi — i dzieła się nie dopnie i nikt stąd cało nie ujdzie. Ze wszystkiego na wielkiej linii jeno śmiech ognia pozostanie.

Brać ich tak, by nie zdążyli pisnąć.... Podejść tuż i brać, bagnet do piersi przystawiwszy.... Ach, bagnet — biały, cichy język piechura....

Lub paść, bo oto wyszedł na niebo polip straszliwy — przeraźliwa, sino-niebieska ośmiornica....

I szepnąć, leżąc w bruździe: Re—fle—ktor....

Szuka płaskiem, wyprężonem ramieniem światła, szuka, a czego się tknie — to bieleje.... Szarością trupią okrywa się krzak, węzowiska srebrne zaigrały w kałużach.... Zsi—niała nagle chata....

Szuka tu, szuka tam żrenicą oślepiającą, że zda się przebieg wiatru widać w tem świetle, a stare, zeszłoroczne liście, jak czarne strzępy na drzewach dygocą....

Niesłyszalnie łązi ten polip po niebie, wywija sztywnemi ramionami, jakby chciał wroga złapać w uścisk nieludzki aż tam — na czarnych wysokościach nocy....

I inne światła gonią się wzajem, rzekłbyś z linii na linię ciskane kwiaty zatrute.... Rozpękają nad okopami białe, jasno zielone i lecą w dół cudniejsze i zdradliwsze, niż złuda....

Póki nie wszędzie młodsze dziś o sto lat w Polsce słońce! Słońce, które zastaje na ziemi, w rowie upartym, młode, silne oko czuwającego Strzelca... W bystrym jego wzroku ostrą przegłąda się iskrą....



OKOPY NAD NIDĄ.

TRZEJ SIERŻANCI.

Minęły już te pierwsze świeże dni, gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były bezcenną i bolesną. Dziś Polacy, jak wolny naród, w czasie wojny otwarli szczerze tamę krwi i szeroko mogą wiązać wstęgi swej nowej sławy.

Gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były....

Cenę za śmierć i cierpienie rozda polom i lasom i ludziom i rodzinom wdzięczna Ojczyzna. Nazwiska rannych i zabitych, jak poczet górny wioną nad szeregami żywych. Nie rzadkością są bolesną, lecz świętym chlebem codziennym. Minęły już te pierwsze młode dni, gdy każdy manewr nasz na polu walki i odgłos drobnej utarczki zgromadzał u naszej poczty, czy naszej komendy etapowej, żalosne zgromadzenie niespokojnych.... Boje nadeszły lute, śmierć wśród szeregów gości, rana szeregi rwie — zaś zgromadzenie niespokojnych znikło bezpowrotnie. Nauczyliśmy się tracić i cierpieć, by zyskać. Stało się, że ojciec, matka, krewny, czy znajomy, nie, jak dawniej, na pół z gniewem, lub z buntem, pyta, gdzie jest mój brat, mój syn, nie wiedząc, w jakiej kompanii, ni w którym służy batalionie, lecz tylko — „tu gdzieś w tem waszem wojsku....“ Stało się, że ojciec, matka poniechali już tej troskliwości, która takim gniewem napawała żołnierzy. Zjawiają się dziś wszelacy krewni, spokojnie i rozumnie, jak po orzeczenie słusznego losu, zjawiają się w promieniach Piękna duszy, która się zżyła ze srogą łaską wojny.

A jak już dobrze wniknęli w organizację tego wojska, które dawniej było dla nich tylko ogólnikowem jakimś

zbiorowiskiem. Pluton, kompania, batalion, pułk — na pamięć to umieją i nie pomylą się....

Minęły już te pierwsze dni tkliwości, a to, co dawniej za ofiarę uważano, pojęto wreszcie, jako obowiązek.

Możemy już dziś dla zbudowania żywych mówić o śmierci po prostu. Żołnierska dola nauczyła nas rozumieć ją mężnie, skromnie, w granicach Celu i Sprawy. Melduję posłusznie — rzeknie szybko gdzieś w polu ordynans — że komendant naszej kompanii zginął....

Tak się dziś wypowiada — ustąpienie z szeregu....

Nauczyliśmy się umierać przykładnie, że aż wiedza i szczęście w tem kwitnie ogromne.

Taką właśnie prostą śmiercią, poufnie skłonom ziemi oddaną, zginęli w boju 22 grudnia 1914 roku trzej żołnierze I-szej kadrowej kompanii, sierżanci I Legionu, Kazimierz Kamiński (Luboń), Kazimierz Strzelecki (Kazik) i Henryk Dobrowolski (Sęk).

Wyszli razem 6 sierpnia z Krakowa, w tej pierwszej kadrowej kompanii, która niosła do Królestwa bicie wszystkich gorących serc Polski i gniew najszlachetniejszej zemsty. Radość ta należała się Kamińskiemu. Zapracował na nią jeszcze jako student Instytutu elektrotechnicznego, organizując Związki Strzeleckie w Rosyi i Petersburgu. On, który tak dobrze umiał oblecieć wszystkie kąty studenckiej polityki, tak dobrze wszystkie koteryjki zamazać, a całość roboty trzymać w garści.... On, który dobrym szlakiem dziadów, pradziadów, Padlewskich, Schwarzów i wszystkich tamtych kuł zemstę w gnieździe wroga.... Na radość tę zasłużył Strzelecki, cichy pracownik, jeden z tych nie-strudzonych dobrodziejów plutonu, którzy warzą jedzenie dla innych, gdy inni się po długim marszu walą z nóg, którzy znajdują kwatery, gdy inni się już ruszyć nie są w stanie. I zasłużył sobie trzeci z nich młodziutki Dobrowolski, członek Strzelca warszawskiego, by był między pierwszymi, którzy wejrzeniem żołnierza witac będą zabrany drogi kraj.

Wszyscy trzej zginęli w bitwie dnia 22 grudnia. Strzelecki skończył tak samo jak żył, skromnie i cicho, od rany w serce, — w randze sierżanta. Zginął Dobrowolski tak właśnie ślicznie dotrzymując przyjaźni, jak pięknie szedł do boju. I trzeci sierżant Luboń....

Do ataku biegł pierwszy. Rażony kulą klęknął, przytulił się do drzewa. Lecz nie wypoczywał zbyt długo. Spostrzegłszy, iż krwi zatamować nie zdoła, ściągnął dłonią kurtkę na skrwawionej piersi i skoczył naprzód.

Słyszeli wszyscy jego wołanie: Niech żyje Polska, Legioniści naprzód!!

Runął trafiony w czoło.

Po bitwie przyniesiono tę resztę ziemskiego pożytku, której wspólnie z sierżantem nie zakopano w pamiętliwej ziemi rodzinnej. Cała sława, wszystko żołnierskie sprawowanie, cała konduita sierżanta zawarta w dwóch małych notesach, wysuswalonych, wygniecionych....

Na tych wąziutkich stronicach zaczął pisać sierżant Luboń: „6/8 1914 czwartek. Alarm o drugiej rano. Zbiórka przed trzecią. Wymarsz z Krakowa pierwszej kadrowej kompanii wojsk polskich“.

Należał do pierwszej załogi w Słomnikach, tu, jak głosi wytarta stronica: „Pierwszy raz mówiłem do chłopów.... Po stu latach przychodzimy wojsko polskie za wolność i lud. Sam ledwom się nie rozpłakał“.

I później, o wiele później po różnych losach, po ciężkich tarapatach: „Wlecemy się do Lasków. Zapewne zaraz pojedziemy w bój. Trzeba z pogardą śmierci śmiało, wesoło, z pogodną twarzą iść w bój.... By moi najdrożsi wiedzieli, że walczymy i giną mężnie za sprawę, o której tyle lat marzyłem, dla której rozdmuchania wytrzymałem swój zapal młodzięńczy. Skończyła się gadanina“....

W dwóch małych notesach, przez godziny zbiorów, racye otrzymanych sucharów, gotowania kawy i te niewyczerpane „idziemy dalej“, i te rozmaite „budzą o piątej“, przez

chwile postoję i walki, kroczy prosta chwała piechura,
klasyczna dzielność sierżanta.... Aż oto schodzi z kartek
dziennika, pochyla się nad drzewem, do którego się tulił
ranny Luboń.... Kwitnie wielka, ogromna, tam, gdzie padł,
rażony w czoło kulą śmierci, a wraz dotknięty pocałunkiem
nieśmiertelności.

Razem wyszli, razem zginęli trzej sierżanci, społem leżą
pod grządką świeżo usypanej ziemi, a szeregi, które już
naprzód bez nich poszły i idą, niosą radosne wezwanie
Lubonia: „Niech żyje Polska, Legioniści naprzód!!....“



PLUTON PODPOR. MACHNICKIEGO.

NASZE LISTY.

Pisze się to na pudełku, na gazecie, na paczce, na kolanie, między garnuszką musztardy, talerzem, kompasami, szturkając łokciem zwiędły koniuszek cytryny, w cieniu czapki, pośród raportów i brauningów. Pisze się to gdzie bądź i byle jak, o naglej porze, czy też w godzinę zapracowaną, upolowaną....

Tego — „gdzie bądź i byle jak“ nie potrafię wam opowiedzieć, bo to się nie da, jak nie da się opisać żadna wielka tęsknota....

Zstępuje ona na wszystkich, wieczorem, we dnie, rano, czy w południe — i oto siedzi żołnierz skulony nad białym świstkiem, marszczy brwi, pisze i w małych znaczkach zawartą, posyła gdzieś tam w świat szczupłą, skromną odrobinę wielkiego swego losu....

Mijając konno wieś, przejęty mrozem i tą czarnością świata nocy zimowej, widzę, jak za szybą drobnych okienek chałupy, niby za przesłoną naiwnej bajki, czuwa strzelec i w blasku świecy pisze list... zaś tyle skupienia i tyle dążeń jest w pochyleniu głowy i tyle serdecznej pilności w oczach, że myślę: żółty, płonący kwiat płonie mu nad głową (nie świeca) i kręgi zatacza głębokie.

Zaś koń mój wolno idzie po grudach, mróz mnie chwycił za palce, wiatr dmie w twarz, samotność moja smutna kłania mi się nisko od czarnego nieba aż do stóp....

Tamten we dnie usiadł na progu chałupy, — nieśmiała wiosna w kropkach najśłodszej tajania brylantowym różańcem tańczy po strzesze i spływa na stare, wydeptane kamienie.

Zasiadł strzelec u czarnego proga chałupy, — patrzy w niebo

błękitne, czyste, jak oczy dziecka.... Słucha czyichś głosów, które błędzą w radościach słońca (jakie to głosy błędzą po ziemi odmarzającej, a trafić nie mogą) i pisze, choć tego słońca, co mu na karcie błyszczy, w kopertę nie zamknie i nie odeśle....

A ja idę prędko po grudzie chwiejnej, dmie ku mnie dech wiosenny powitalnie i marzę, marzę.... Póki ma trzeźwość nie zegnę mi karku przed kosmatym murem cmentarnym — za wsią — i starości mej młodej, póki mi nie wypomni....

Ten znowu, kawalerzysta, w groźnym kasku z przed stu lat, stoi u studni przy żłobie.... Przy żłobie w pniu wydłubanym — co go jak kawał kołacza grudy białego miodu — oblepia lód, i myśli jakieś słowo rzewnego ukochania, a tak jest głębokie i jedyne, że nigdy go nie wypowie.

Gdzieś jest — smęci się młody oficer, gdy już wszystkie sprawy oddziału załatwił i patrzy poza okop w dal surową.... Gwiazdy pozrzucaćby teraz chciał, na dłoń zsytać i na podolek ci rzucić stąd, ty piękna.... Stąd z daleka, z kraju nagłego ognia i szybko płynącej krwi....

Śpisz jeszcze, — dłuży się dyżur młodemu oficerowi, — podczas gdy słońce z nad pustych zrębów horyzontu wstaje i splecione, wyciągnięte ręce młodzika spaja tkliwą słodyczą....

Wróć do ciebie, wróć — roi sobie, zrywający się z rezerw żołnierz, gdy szyby się trzęsą od huku armat.... Więc pisze w liście: Nie wiem kiedy wróć, bo teraz się bijemy i czasu nie mam o tobie myśleć....

Zaś ja nie będę zsypywać gwiazd i wracać nie chcę....

„Donieście mi, gdzie jest mój brat, wyszedł z Krakowa pięć dni po nas i odtąd wcale nie wiem, gdzie się obraca? Napiszcie bracie sam, jeśli jesteście....“

A brat po stromej drodze pędzi gdzieś w gwiździe kul, obcy w stronach dalekich, zdziwiony, i myśli tą myślą nagłą, w której jest wszystko ostatnie do najpierw-



KAWALERYA PRZED WYMARSZEM.

szych chwil: gdzie jest mój brat, wyszedł pięć dni przedemną....

List dojdzie, lub nie zastanie, lub wstęga amarantowa popłynie ze skroni....

„Korzystam z tej okazji, kochani rodzice, aby donieść, że dzieje mi się dobrze. Gdy się wszystko ułoży i dobrze pójdzie, wrócę do domu.... — No!! Dziś na kwaterze córeczka we dworze, gdzie stoimy, wpadła do jadalni podczas obiadu, niosąc przytulonego do piersi zajączka z pola. Ten szary miękki kłaczek strachu, ciepła i szybkości — to malutkie stworzenie drżało, gdym je brał, jakbym najświeższą spłoszoną wiosną w garści trzymał.... Czy dojdzie wasten list?“...

Zaś ordynans umył sobie do pisania ręce, leży na słomie, w stajni, w błogim zapachu koni, w cieple i pod rytmem chrupanego owsa, rachując stopę wiersza wedle miękkich końskich z nogi na nogę przestępowań, — układa:

Niech będzie pochwalony Chrystus i Maryja,

Niech się imię twoje po świecie rozwija....

Nie mogę pisać co robimy,

Ani też w którym mieście stoimy.

Teraz proszę przyjąć to powinszowanie,

Bo nie za nas nastąpi i nie za nas przestanie....

Pozdrawiam cię Marysiu przez koliczek w płocie,

Bo cię mam na myśli przy każdej robocie.

Teraz cię pozdrawiam — zielone pnie —

Bo mi się bardzo bez ciebie cnie....

Pozdrawiam cię przez koniuszek igły,

Żebyś się na mnie nie gniewała nigdy.

W dniu twojego imienia

Na same wspomnienia

Brak mi wysławienia.

Przyleciał słowiczek, siadł mi na ramieniu

Tak mi pięknie śpiewał o twoim imieniu,

Żebyś szedł najprędzej powinszować do serduszka twego

Tak pięknie wyśpiewał do ucha mojego....

Wbiegła dziewczynka, niosąc przytulonego do piersi zajączka. Ten szary, miękki kłaczek ciepła, strachu i szyb-

kości, maluchne to stworzenie drżało, gdym je wziął, jak-
bym najmłodszą wiosnę w garści trzymał.... Czy dojdzie
was ten list?

Ale ja nie będę zsypywać gwiazd, ty piękna, mróz chwycił
mnie za palce, zimno całuje w usta, nie chcę łączyć uści-
sku i wracać nie chcę....

List dojdzie, lub nie zastanie, lub wstęga amarantowa skro-
nią popłynie....

Bo to nie za nas nastało i nie za nas przestanie....



IMIENNY KOMENDANTA.

IMIENINY KOMENDANTA.

Zamieciono wielką salę opuszczonego dworu.... Zapowiedziano, by nikt nie rzucał niedopałków na podłogę.... Przy schodach ukryliśmy orkiestrę.... Obsadziliśmy czujnie telefon, by dano nam natychmiast znać, gdy komendant wyjedzie z obrębu baterii.... Obsadziliśmy drogę, prowadzącą do dworu, by zawczasu widzieć, kiedy się zaczną zbliżać. W sali zbierają się oficerowie, ubrani odświętnie, — jeśli można mówić o paradzie tu, w polu. Polega ona na tem, że się nie rzuca niedopałków na podłogę, że się ma oczyszczone buty i minę paradną. Schodzą się więc uroczyście i ceremonialnie.

Już jest ogromny, zupełnie do Scipiona Afrykańskiego podobny, komendant karabinów maszynowych, Słonecki. Chodzi między oficerami i opowiada jakąś niesłychanie krwawą i niebezpieczną wyprawę.... Już jest ponury i twardy komendant saperów Dąbkowski. Najpocziwszy szef żandarmerii polowej Jur odznacza się dostojnie swą zacną brodą i słyhać go w grupie, jak wywodzi rzewnie: Bracie kochany!

Mistrz ceremonii, podporucznik Sulistrowski, przyjmuje wszystkich, wzorem będąc wojskowego wykwinu i słodyczy. Właśnie mruży oczy subtelnie i ściska rękę kapitanowi Berbeckiemu.

Stopniowo zjawiają się: komendant batalionu kapitan Fleszar, kapitan Scaevola, major Śmigły, kapitan artylerii Śniadowski, komendant artylerii Brzezina i wogóle wyższe szarże, witane twardym wojskowym ukłonem. Przedostają się powoli przez ciżbę młodszych oficerów, raz wraz podając rękę. W sali już niebiesko od mundurów, trzask

szabel mięsza się z tonem rozmowy i uroczystem szurganiem butów.

Gdzieś w kącie huczy głośno nieporównany podporucznik Dzieduszycki, ciągnąc za sznur księdza kapucyna Kosmę, zaś porucznik Litwinowicz dogaduje, wyczierając dobrotliwie z poza okularów, dziwnie krępy i zwiezły, obok wysokiego kapitana Wyrwy. Wchodzą, zawsze śpieszni kawalerzyści w ogromnych czakach, Belina, Orlicz i Wieniawa. Równocześnie za drzwiami, w drugim pokoju, wre praca gorączkowa. Tu, opuściwszy ceremonię powitań, króluje Sulistrowski, układając nakrycie stołu z czystych poszewek i prześcieradeł, kombinując ilość talerzy i kieliszków, by wystarczyło dla wszystkich.

Komendant jedzie!

Wszyscy rzucają się do okien i wypatrują przez zataraszony klomb na drogę, po której pędzi młody wiosenny wiatr i suche zimno jeszcze nieprzebudzonej wiosny. Daleko na szarych polach długie pasma śniegu i różgi drzew i — rzekłbyś dym — szare wieńce zmarzniętych krzaków.

Jedzie komendant! Teraz na pewno....

Orkiestra rżnie marsza. Przed klomb zajeżdża w szarej świcie Piłsudski, za nim major Trojanowski, dr Rouppert, kapitan Kasprzycki i inni.

W sali gromadzi się wszystko. Gdy komendant wszedł, staliśmy jakby półkolem w podkowie. Runął jeden dźwięk ostróg, siwe mundury sprężyły się, służbista gotowość zaciężyła na twarzach. Zaś jeśli podkowa jest znakiem pomysłowości, to ta, żywa i szara, w której kształcie staliśmy, najwierniejszą jest, jaką Komendant w swem życiu spotkał....

Wystąpił major Śmigły, przemawiając uroczyście, — jako żeśmy ufali naszemu Dowódcy oddawna, lecz boje, do których nas prowadził, ufność naszą i oddanie się — ustokrotniły. I że nie masz dla nas zadania dość trudnego, gdy z jego płynie komendy i, — byśmy te imieniny za rok obchodzili w wolnej Warszawie....



1) PODPORUCZNIK FUKSIEWICZ. 2) PODPORUCZNIK SULISTROWSKI. 3) SZEFSZTABU SOSNKOWSKI.
4) MAJOR TROJANOWSKI. 5) KAPITAN LUDWIK.

Cisza i przysięgła jakowaś bladość twarzy i oczy w do-
wódcę wpatrzone głębokiem wzruszeniem błyszczące. Major
Śmigły wręczył dar od korpusu oficerów brygady I. Le-
gionu. Komendant podziękował krótko, salutując. Następ-
nie winszowano od poszczególnych oddziałów. Trzeci ba-
talion I. pułku wręczył album, szwadrony karty z podpi-
sami. I znów życzenia i znów ten krótki, dziarski ukłon
Komendanta.

Potem nasz uroczysty obiad! Nasza uczta! Nasz bal kolo-
salny, pyszny, olbrzymi, w zimnej sali — ale to nic, po-
myśl, gdy będzie tu kilkadziesiąt osób, nie będzie zimno....
Nasza agapa fenomenalna z dętą orkiestrą za drzwiami,
grzmącą w czterech ścianach potężnie, jak na błoniach
rewji — na stołach różnej wysokości, niby plastyczny te-
ren bitwy!

Ryba w majonezie, rzekłbyś groźny zapas śrutu — kawior
w puszkach blaszanych i sardynki i czerwone szczypcy
homarowych łap! Nie dziwota tedy, że nam na te cuda
oczy na wierzch powychodziły jak rakom i żeśmy, prze-
walczywszy wstępne, skromne ociąganie się, żywo zasiedli
do stołu.

Komendant Piłsudski w pośrodku, szef sztabu Sosnkowski
z jednej strony, z drugiej poseł Daszyński, dalej szarże od
wyższych ku niższym, a na końcu sprawiedliwi podpo-
rucznicy czule ku wyżynom stołu i zakąskom wyglądający.
Muzyka nam rznąła te wszystkie marsze dalekich, krwa-
wych pochodów naszych, naszej bitwy i głodu i chłodu
i rewij i uroczystości. Jadło się za te wszystkie czasy i za
przyszłe, za tych, którzy padli, lub padną....

Jedzenie szło równo, napitek równo, a rozmowa wybu-
chami.... Raz wraz widać było, jak niby dwa obwarzanki
splatają się ramiona oficerów i ramię przez ramię wychyla
się kielich braterstwa.

Gdy mowca wzniósł zdrowie komendanta, buchnęła orkie-
stra spiżowymi surmami „Jeszcze Polska“. Zerwaliśmy się

wszyscy jak jeden mąż i dobywszy szabel, prastarym obyczajem skrzyżowaliśmy ostrza nad stołem, że błyskawicą powiało nad głowami.

Więc dalej zdrowia i owo tak tkliwe wśród nich, tak gorące zdrowie braci żołnierzy z II. i III. Legionu.

Mrok już zapadał, gdy się wspaniała biesiada kończyła i gdy na cynowych talerzach roztopiły się resztki lodów. Rozmowy się plotły teraz grupami. We wspólnym mundurze niedawni studenci odgrzewać jeliśmy „stowarzyszeniowe kawały“.

Tyś był tym — tyś był tamtym....

Pamiętasz, jak rozbiliśmy wam wtedy zgromadzenie?!

Tyś mówił, że ja się nigdy wśród was nie znajdę...

A dlaczegoście robili taką cholerną opozycję?

Teraz wspomina się te czasy, jak niewczesne a zabawne dzieciństwo, które znikło odrazu, gdy powaga Sprawy stanęła we wrotach zgromadzeń.

Inni opowiadają sobie swe przygody, rysując na czym się da — na stole, krześle czy kolanie — plan sytuacji. Jeszcze inni oglądają album, które III. batalion I. pułku brygady ofiarował dziś komendantowi.

Jest to księga z szarego, grubego papieru, tak podobnego do barwy naszych mundurów. W jednym rogu okładki, w czerwonym giętem ramowaniu oficerskiej odznaki I. Legionu błyszczy gwiazdka podporucznika, zaś brzeg przecinają na wzdłuż trzy czerwone paski — odznaka sierżanta.

Na pierwszej stronie w objęciu pięknie stylizowanych pędów świerkowych napis dedykacyjny. Dalej historia III. batalionu.

„Gdy Twa wola niezłomna — głosi pismo — powołała nas ośm miesięcy temu do nowej wojny o Niepodległość Naszą, pierwszymi z Twoich żołnierzy, którym szczęście przypadło sformować się w jednostkę bojową, przejść wraz z kordony, bić się z Moskalami, byli żołnierze dzisiejszego



ORKIESTRA I. BRYGADY.

III. batalionu pierwszego pułku piechoty polskiej. W dniu 3 sierpnia stworzyłeś z uczniów szkół wojskowych obu zbratanych organizacyj strzeleckich pierwszą kompanię kadrową wojska polskiego. Było ich blisko 160, tylu, ilu podchorążych niegdyś w noc Belwederską. Pod komendą obywatela Zbigniewa (Kasprzyckiego) dziś kapitana Twego sztabu, przekroczyli 6 sierpnia granicę. 8 sierpnia zajęli Miechów. Tutaj z kompanią I., prowadzoną odtąd przez ob. Herwina, połączyły się dalsze kompanie w liczbie pięciu, sile 372 ludzi. Z głównej ich masy sformowano kompanię drugą ob. Zosika, dotąd jej komendanta, trzecią ob. Scaevoli, dziś kapitana, komendanta dzisiejszego III. batalionu“.

Zaś parę ustępów niżej:

„Batalion III. miał szczęście spełnić swą powinność w potyczkach koło Opatowa i Nowego Korczyna (potyczka pod Uciskowem i Stróżyskami 19 września); w rekonesansie około Garbatki w pobliżu Iwangrodu 21 października; w boju leśnym pod Anielinem (22 października: odparcie oskrzydlenia nieprzyjacielskiego atakiem flankowym, 170 jeńców); w trzydniowej bitwie pod Laskami (24, 25, 26 października); w boju pod Brzechowem 31 października; w przeprawie: z pod Krzywopłotów przez Ulinę Małą do Krakowa (utarczka 10 listopada); w nocnym napadzie na Chyżówki (23 listopada wzięty do niewoli szwadron jazdy); w szeregu walk dokoła Limanowej i Nowego Sącza, wreszcie w bitwie pod Łowczówkiem (22—25 grudnia 1914, rozstrzygający atak III. batalionu, szczególnie pierwszej kompanii, po utracie wszystkich oficerów prowadzonej przez sierżanta Kalinę-Zieleniewskiego, dziś podporucznika, paruset jeńców)“.

Na wstępnych stronicach fotografie komendantów batalionu i szarż, a dalej kompaniami, podpisy żołnierzy wprawne, wyrobione, doktorskie — i proste, jakby orane piórem na papierze i zupełnie niezdarne, drżące, jakby na wodzie pi-

sane, wreszcie... znaki pod obojętnym podpisem — krzy-
żyki chłopskie....

Zmierzcha się już zupełnie. Przewracam stronicę tego al-
bumu i oczy mi się w mroku mylą. Zwiduje mi się, że się
te podpisy nietylko na kartach książki snują, lecz drżą wedle
mnie i nademną, w całej izbie i wśród pół śpiących i da-
leko na szarym niebie — powszędzy....



OFICEROWIE I. DYWIZYONU KAWALERYI I. BRYGADY.

NOWY ROK W POLU.

Jak witaliście Rok Nowy wy wszyscy, których ta zima w domu zastała? Jeśli wznosiliście kielich na przełomie dwóch lat — pewno Wam kielich w rękę ocięzał.... Jeśliście życzenia sobie składali, wiem, że między życzenia wasze niepokój nagle wszedł i roztrącił je.... Wiem, że przyszła do was ta chwila odpowiedzialna, w której życzyliście wszystkiego najlepszego nam w polu.

Kielich wam w rękę ocięzał sumienną obywatelską troską o los żołnierza polskiego, a życzenia wasze wieńcem się splotły wokół sztandaru walki. My zaś.... Było to po ciężkiej czterodniowej bitwie. Właśnie się zaczął nasz żołnierski wypoczynek, inny niż wszelkie wypoczynki ludzi pokoju. Odpocznienie z ran i krwi wylanej i z doświadczonej śmierci (bo śmierci doświadczają szeregi jak nagłej przygody), odpocznienie po wysiłku bitewnym, który upaja jak wino, zaś jak gorączka wyczerpuje.

Zajęliśmy na kwatery kilka wsi. Rozeszła się po chatach zjeżona, chrzęcząca żelaziwem kolumna piechoty. Odeszła gdzieś w bok na leże porywcza kawaleria.

Czas był słotny, mokry, niechętny. Dopiero wieczorem 31 grudnia mróz począł brać i jakoś razem z tym mrozem przyjechał oficer od Beliny, — że w myśl poprzedniego zaproszenia czekają na nas i że już czas.

Staliśmy w pustym pałacu, raczej we dworze starym, w którym z dawnego zbytku zostały wygniecione łóżka, szklana gablotka z fotografiami przeróżnych krewnych, wreszcie fortepian o strunach popiołem i tytoniem przesypanych. Zapomniane na ścianie lustro podkreślało ostentację dokonanego tu spustoszenia.

A przecież nigdzie podczas wojny nie czuje się człek tak, jak w starym polskim dworze, gdzie mu się życzliwie przychyła niski pułap przedsionka, gdzie ostrogą i trzaskiem szabli potakują w mroku zacne echa kochanego kamienia schodów wytartych.... Gdzie miło jest rękaw rozedrzeć na słabym zawiasie dygotliwych drzwi lub patrzeć, jak w pustych oknach umiera pobrzask zachodu.

Ze świecami w rękach, płosząc cienie i drogie jakieś wspomnienia zesłiliśmy przed zajazd. Osiodłane konie czekały przed klombem. Trzeba wiedzieć, że żadne konie tak, jak nasze, nie umieją czekać w mroku przed dworem.... Żaden tak łba nie zwiesi, z nogi na nogę nie przestąpi i ogonem przez srebro księżycy nie machnie, właśnie jakby stary Kossak podpatrywał. W głębi mroźnych oparów rysował się twardy grzbiet szwoleżerskich kasków plutonu kawalerii.

Ruszyliśmy z brygadierem Piłsudskim i podpułkownikiem Sosnkowskim na czele w mgłę miękkuchną, drogą wśród jarów i parowów mierzwiąc srebro napotykanym wśród marszu strumyków. Mgły się rozstały wkrótce i znaleźliśmy się jakby w łożysku perłowych ostępów inkrustowanych hebanem lasu. Zaś bliżej celu podróży — trudno rzec, iżśmy wjechali do wsi, lecz ona sama nas ogarnęła, polska, zimowa wieś. Mignęły szybko w kłusie pochyłe chałupy, ślipające po nocy okienkami, przewinał się spiesznie cień utrudzonych stodół. Na ganek małego domostwa wbiegli oficerowie kawalerii.

Serdeczne przywitanie.

Weszliśmy do saloniku, który w normalnych czasach nie zwróciłby niczyjej uwagi, który jednak w czasie wojny wydał się nam ostatnim słowem wykwintu i nowoczesnego szyku. Po krótkiej gawędzie, po szumnych uprzejmościach i grzecznych duserach przeszliśmy na kolację.

Prawdziwa kolacja, złożona z rzeczywistych dań to na żołnierskim postoju dzieło niesłychanie złożone, czasem nie-

prawdopodobnie trudne do wykonania, zważywszy, że w danej miejscowości nic niema i że „Moskale wszystko zabrali....“ Dzieło to tworzy się z resztek, jakie pozostały po ostatnim postoju, z wysupłanych u kogoś laseczek cynamonu, ziarenek gwoździka, ze zdobytej gdzieś z trudem mąki i jajek, zresztą któż to wie jak?!

Dość na tem, że uczta się odbyła na rzeczywistym białym obrusie i wino było i pieczeń, ciastka i razowe przedziwne faworki. Zaś przede wszystkim było to, co się żadną miarą opisać nie da, mianowicie owa gładka, kawalerska uprzejmość, ów zawadyacki, rycerski ton oficerów naszej kawalerii.

Jeden z nich wniósł toast na cześć komendanta, który z nas, rozgadanych studentów, uczynił żołnierzy i na „baczność“ milczeć nauczył. Odpowiedział mu komendant w myśl tyloletniej, pięknej swej pracy, której celem wychować Polskę żołnierzy-obywateli.

Potem krążyć jęły toastowe, serdeczne dyplomacje.... Oficerowie piechoty wiwatowali na cześć kawalerii, oficerowie kawalerii na cześć piechoty, aż wszystkich wywabił na ganek ruch i rumor coraz większy, powstający przed domem. Chwila, którąśmy przed domem ujrzeni, była tak stara a wiecznie młoda, silna i serdeczna, tak tkliwa i mężna, jakby żywcem zesza z rysunku Grottgera, jakby spłynęła ku nam ze śnieżną falą.... Z falą srebra i brzasku od progu, na którym we chwale wiecznej, zimą surową, posnęli nasi Ojcowie-Legioniści. W sinawem lśnieniu mrozu, pod stropem białych gałązek, na tle drzew, niby kanwa starego srebra, biegnących w dal, stanęły setnym czworobokiem plutony szwadronów. Kolejno komendanci plutonów składali życzenia dowódcy szwadronu, a on, ogromny, rośły, całował jednego po drugim, potem zaś od żołnierza do żołnierza szedł, wymieniając uścisk dłoni.

Życzenia jasne, jedyne, które las polski i polska zima pamiętają tak dobrze....

Życzenia w ciasnem, polskiem obejściu, gdzie mieści się i zmieścić się nie może serdeczność żołnierza, karabinowymi salwami wystrzela w górę, — skrzydłem śpiewu po lata.

Aż wreszcie stanął przed komendantem dowódca szwadronu i w obecności czworoboku, szablą ukłon oddawszy, życzył — aby na przyszły rok....

Żaś po nagiej kłindze schylonej w oddaniu czci spływała poświata uroczystej nocy jasną tęczą najszczytniejszych nadziei.

A głosy dzwonów świątecznych prędko biegną po śniegu, przez las, po śniegu, przez górę....



ADJUTANT I. BRYGADY PODPOR. DZIEDUSZYCKI.

ORDYNANS.

Felek czekał w kuchni, aż kucharka napełni obie sosjerki, by je na srebrnej tacy wniósł „za mięsem“ do stołowego. Tymczasem kucharce szło niesporo, bo Walenty już z mięsem na tacy stał przy stole i gadał i użerał się o to wojsko polskie.... Z gniewu, z ruszania wąsów, z potu, co mu na czoło występował, widać było, że Walenty gorączkuje się, złości i sprzeciwia.

Waryaty, oberwańcy, strzelcy, postrzeleńcy!

Felek słuchał Walentego, palcem przejeżdżał zimny kant sosjerki i nic nie rozumiał.

Wiadoma rzecz, że jeśli wojsko, to wojsko. Jest takie i inne, każdy ma swoje, było takie i owakie, z różną mową i cudacką komendą. Czemuż to?....

Jakieś słuchy chodziły o tem po wsi od dawna, razem z zatłuszczonym kawałkiem gazety. Snuły się wieczorem przy kominie w czas pogwarki, schylone i chwiejne, jak dym....

Felek myślał w wieczory czytanek i słuchów owych, że siedzą prawie święte, tak dalekie — za obrazami nad łóżkiem. Pewnikiem stamtąd wyszły, pewnikiem tam wróca.... Już od kilku dni i teraz bał się i wstydził, że słuchy zeszyły między gadanie ludzkie, że Walenty pyskuje a wydziwia. Przystawił sosjerkę do sosjerki brzeżkiem równiutko i wyciągnął się nagle, aż mu oczy na wierzch wyszły, a w kościach chrupło.

Walenty splunął, łapę pod tacę podłożył — idziesz Felek — huknął i poszedł z mięsem.

Jeden za drugim wchodzili do jadalni, gdy nagle za rozwartą bramą iść to zaczęło....

Panienki sfrunęły do okien, Walenty stanął z głową rozdziawioną na środku posadzki, jak słup, starsza pani zakłósała się od łez, a pan ręce w łańcuszek zegarka wcisnął, jakby go sobie z kiskami wyrwać chciał.

Oni!!!

Szli drogą, w szarem, chmurnem południu, cierpliwie, jakby do spowiedzi, wojsko szare, z białymi orłami na czapkach. Co to było, nie wiedział Felek jeszcze, ino w ruchu i wzięciu się, w przystępowaniu, czy że na bakier się nosili, czy — już zapomniał, bo tylko dzwonienie słodkie nim trzęsło, że szli, a coś sobie powtarzał jak najprędzej w żarach i we wstydzie gorącym.

Aż nagle buchło z szeregu kurzawą, impetem po gazonie, przez płot, że wstrząsły się stare wierzby przydrożne:

Na bok wisielcy
Bo idą strzelcy,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

I znów:

Siwe mundury,
A butach dziury,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Komendant jedzie,
Wojenka będzie,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Zwały się z tacy dwie sosjerki, Felek wyróżnił się o jedno drzwi, o drugie, i pędził, już pędził tyłami ogrodu na skrzyżowanie dróg, jęcząc i gryząc wargi do krwi.

Wstydział się, żeby go tam nie ujrzeli, więc się zaczął w krzakach i czekał.

Szli mocno, naprzeciw wiatru, krokiem równym i zgodnym, z przymrużonemi oczyma i z otwartymi od śpiewu ustami.

Na nic i na nikogo jeszcze nie patrzył, jak na nich... Każdy ruch, każdy guzik, każdy but zapamiętał Felek na zawsze.

Twarze mieli młode, dobre, wesołe. I to, że właśnie szli pod kamienną figurą, czwórka za czwórką, tacy dopasowani! Patrzył jak ten jabłko gryzie, tamten ciężar na plecach podrzuca, ten garścią okruszki chleba do ust wysypuje.

Szli tuż nad nim i oczy mu się mrużyły od mijania nóg, a od marszu i ziemi dudniącej i rozśpiewanego powietrza — wciąż się w piersiach rzewne układały drżenia.

Przeminęli na skrócie razem z wozami. Na drodze został tylko święty kamienny, z pajęczyną między palcami we wietrze fruującą.

Felek odczekał aż ucichło i znów kopnął się za nimi biegiem pospiesznym.

Skręcali na lewo w bok, do polnej drogi.

Stanął jak wryty.... Oto po jednej stronie dążyły czwórki i jedna za drugą zniknęła w borze sosnowym, a po drugiej stronie stała chałupa matki Felka i matka przed oknem między złotymi kręgami słoneczników, jak święta w złotej obwódce.

Nie ruszał się....

Nie ruszy się stąd, niech tylko ciągle idą pod tym lasem.... Ale szli i szli, aż znikli, potem jeszcze tamten i ten łysnął między drzewami, potem jeszcze bronie dźwięknęły, a potem las, jakby ich wypił wszystkich, topiąc w suchym szmerze gałęzi....

Felek słyszał, jak skrzyły drzwi, jak się z powrotem za matką zawarły. Słyszał sypki szum płowych mietliczek, dobrotny pomruk matczynej chałupy, wszystkich jej ścian i wszystkich ścian obory i wszystkiego, co tu żyło w biedzie, łataną troską.

Chmury ciężkie leciały nad lasem, wiatr cesał i pieścił wyschłe mietliczki, droga się po dawnemu u świętej figury rozdzierała na dwie części....

Samo się stało, że począł iść, krok za krokiem, jakby każdym krokiem komuś coś kradł i komuś coś dawał....

Aż znalazł się na krajeńszku lasu, tam, skąd widać całą chałupę matki zgarbioną, do pustego ugoru przyległą....

Coś go takiego tknęło, coś go takiego owiało, że się już nie obejrzał, tylko biegł przed się, za pobrzękiem gwerów i manierek, aby bliżej....

Dopadł ich przed samem miastem.

Noc już była, gwiazdy obsiały niebo jak srebrny mak, księżyc płynął wśród nich gładki i biały, a na trawach skrytańczyły mrowiem niezliczonem.

Żołnierze szli, niczem mur, zwarty cień to z boku wlokąc, to pchając przodem i ciężko robili bokami, widać bardzo zmordowani.

Na rynku wszystko się zatrzymało; dowódcy poszli do jasno oświeconego domu.

Nie obejrzał się, kiedy szeregi wsiąkły w ziemię. Wojacy się pokładli na bruku, oblepili wszystkie ławki pod apteką i wszystkie schodki przed domami. Usnął się z nich na rynku drugi bruk nierówny, dyszący....

Nazajutrz od samego rana począł ich szukać. Gdzieś poszli, czy ukryli się, a tylko chłopów nawaliło się do miasta! Pokręciły się te chłopcy tędy i siędy, aż nagle trąba rozległa się wojenna i wszystko sunąć poczęło w jedną stronę, a Felek ze wszystkimi, głupi na to, jak tabaka w rogu....

Chłopcy pochrzając, podciągając portek, stanęły w zbitej gromadzie — słońce od samego rana świeciło najpiękniejsze — a ku gromadzie sunie, niby kawał ciemnego nieba, oddział z tym samym oficerem, co wczoraj. Zakręcił nimi, stanęli bardzo srogo.... Znowu powiedział i wytchnęli, jedną nogę naprzód wyciągnawszy.

Widział to Felek, bo stał na boku, przy kupie bab płaczących. Oficer wyciągnął papier, czytał z niego wszystkie wielkie słowa i skończył wołaniem o wojsku polskim.



KAPITAN WYRWA.

Cisza nastała i aż się niebo wyprężyło od tej cichości.
Tymczasem chłopcy już idą....

Pierwszy, drugi, czwarty powoli se idzie, przed oficerem odmie się, bo mu nie sporo, przemówią do niego, zapiszą. Przekręci się na pięcie i stanie do szeregu.

Felek obleciał plac dokoła, przejechał łokciem pod nosem i też idzie, wielkimi krokami, z kapeluszną dziurawą, aż na oczy wciśniętą, że się tylko na uszach odstających trzyma. Stał przed oficerem, słucha jak paski i rzemienie na nim chrzęszczą, a czuje, że na sobie wszystko się trzęsie i skroniami pot płynie — z tej uwagi....

— Ile masz lat? — spytali.

— Nie wiem.

Oficer wzruszył ramionami. — Chcesz wstąpić do polskiego wojska?

Felek nie odpowiedział, bo mu twarz zakrzepła w przy siężnej gotowości, a oczy jasne, jak czyste niebo tego dnia, znieruchomiały nagle.

Surowa twarz oficera ogrzała się różowem ciepłem.

— Czternastu lat nawet nie masz?! Za młody jesteś.

Felek zrozumiał i żeby przebłagać, czy przekonać, zdjął kapelusz, odsłaniając złote, zmierzone jak mietliczki, włosy i młodość głowy dziecinnej, za dużej w stosunku do całej postaci.

— Cóż my chłopcze z tobą zrobimy?!

Nie odpowiadał, garść całą wsadziwszy w dziurę kapelusza.

— Wracaj do domu, wracaj i nie zabieraj mi czasu.

Wtedy nagle w niebieskich oczach Felka rozpekły wielkie, brylantowe gwiazdy, twarz się ściągnęła w zmarszczkach, a wystające z rozchełtanej koszuli malutkie piersi drżeć jęły szybko.

Felek płakał. Przyszedł z kolei nowy, wielki chłop, odsunął płaczącego.

I znów szły chłopcy, odymały się przed komendantem i stały do szeregu.

Słońce już doszło południa, gdy Felek, przeczekawszy całą koleję, drugi raz stanął przed komendantem....

Stał prosto, w oczy patrzył prosto, ręce prosto wyciągnięte trzymał wzdłuż siebie, bez tchu, w kapeluszu, którego dnem, jak ździebła owsa, miękkie się wychylały kosmyki włosów.

— Czegóż ty jeszcze chcesz?

Wtedy zaparł dech w sobie, żeby mu nie przerwała dławiąca łza i głosem wysokim, silnym jak kwilenie jastrzębia, rzekł: — Chcę służyć w wojsku polskim....

— Jużem ci mówił, nie zawracaj mi głowy — a młoda, czarna bródka komendanta drżała ze śmiechu. — Czternastu lat nawet nie masz. No idź....

Felek tylko naprzód postąpił, jak młody kogut wyciągając głowę ku górze.

— Silny jestem....

— Za młody jesteś.

— Ja i tak pójde — odpowiedział, nie patrząc na nikogo.

— Nie wezmę cię, za młody jesteś.

I znów zapisywali się inni, a Felek stał zgrzany, spocony, bez ruchu, z amarantowemi uszami i powtarzał, jakby do siebie, czy do białych domków miasteczka, czy do nieba szerokiego — gdy go ludzie słuchać nie chcieli: — Ja i tak pójde — ja i tak pójde!!

Aż skończyło się wszystko.

Żołnierze plasnęli łapami o karabiny, chłopcy się ustawili we dwójki, zapłakane baby odeszły.

Felek stał na tem samem miejscu, dwóch małych żydków kręciło się koło niego — i krzyczał coraz głośniejszym głosem: „Ja i tak pójde! Ja i tak pójde!!!“

Komendant skoczył ku niemu i czerwony z gniewu krzyknął: — Pójdiesz, ale przy pierwszej sposobności, jeśli się zbłązniesz.... My wszyscy — Legion....

Oni wszyscy.... Legion....

Zelżało we Felku i światłość się w nim rozlała.... Teraz

się odął jak tamte stare chłopcy. Wolno przystąpił do szeregu i stanąwszy na końcu, że przez bary poprzednika dojrzeć nie mógł, co się na początku dzieje, po męsku splunął przez zęby ze strasznej wdzięczności dla komendanta....

Zaczęło się od chodzenia, od prawej ręki i lewej, że ta prawa a nie lewa....

Potem przyszły bluzki i wszyscy dostali, potem portki przyszły, wszystkie dla niego za długie.

Dopiero zagryzając język, oberznął nogawki kozikiem.

Potem przyszły buty, nabijane gwoździami, za długie. Potem dostali plecaki i karabiny. Ze swoim karabinem znajdował się Felek pół dnia, cichutko głaskając kolbę i pakując oko do lufy. Żeby mu go kto nie ukradł, nauczył się na pamięć numeru gweru i wyrzynał (jako że pisać nie umiał) chałupę matczyną na drzewcu.

Kiedy pierwszy raz stanął na warcie, nasrożył się tak, że ludzie z miasta całą kupą stali przed nim o 10 kroków i odejść nie chcieli.

Kiedy drugi raz stał na warcie, przyszła matka z płaczem i z błogosławieństwem i za rękaw go brała, a on nic, tylko słyszał jak płacze, ale chodził tam i z powrotem i nie patrzył w tę drogą stronę.

Oni wszyscy!.... Legion!....

Potem się napadu nocnego spodziewali, stojący na cmentarzu. Szło się na ochotnika. Poszedł i on ze swoim komendantem, ale się tylko po próżnicy zgonili po lesie, bo „tamtego“ nie było.

Potem gdzieś szli i szli bez końca, ze strzelaniną na bokach, lasami i drogami, światami, z niebem przepalonym nad głową, z czarną nocą u stóp. Jeść nie było co, ani pić. Sama ziemia pusta i głodna dokoła, ale Felek zawsze dbał, żeby dla swego komendanta coś mieć, bo bardzo się pokochali, jako że on, Felek, był obywatelem i komendantem.

Obaj....

— A wiesz ty, co znaczy obywatel? — spytał go raz komendant.

— Wiem.

— No co?

— Obywatel — to ja.

— Masz rację.

Tak się ułożyło w duszy Felka, że ponieważ jest obywatelem, musi więcej potrafić, niż może.

Idą.... Inni niosą karabiny na ramieniu, na rzemieniu.... Żeby tak swój karabin Felek niósł, toby mu kolba grzęzła w błocie. On swoją broń niesie w garści, palcami za zamek podtrzymuje. Cały ciężar w mdlejącym ręku dźwiga, ale nie puści, bo jest obywatelem....

Aż doszli nareszcie do świata zakazanego. Wojsk tam widać było coraz mniej, a pustki coraz więcej i coś leżało na ziemi czy na niebie rozprószone, że aż dreszcz od tego brał. Pustki coraz więcej i ognia....

Minęli wieś i gdy noc nastała, siedli w okopach, zaś nad ranem zaczęło się....

Nad okopami szła jedna burza ołowiu, syki armatnie gięły się po niebie; ziemię szarpało, że czarnym słupem leciała pod niebo, to znów pękały w chmurach całe garście kul i żelaza. Od tego łomotu, trzasku i łamania zatykało Felkowi dech w piersiach. Leżał w okopie i gadał prędko, dużo, — krzyząc od czasu do czasu: Jo strzylom, strzylom!

Zaś gdy usłyszał za sobą rozkazy komendanta swego, wyskoczył z rowu, by się pochwalić.

— Jo strzylom, komendancie!

— Osiół jesteś, bracie.

— Podług rozkazu — odpowiedział Felek, prężąc się wśród gradu kul.

— Cóżes ty za ordynans, skoro tu siedzisz, gdy ja cię co chwila potrzebuję.

Teraz dopiero zaczęła się dla Felka prawdziwa rozkosz bitwy. Z nieotartym nosem, gryząc wystawiony język, latał



ARTYLERYJA I. BRYGADY.

od kompanii do kompanii lub włókł gdzieś za skórzane ucho pakę amunicji lub przynosił okopom kradzione w ta-borze konserwy. Potem wracał do komendanta, z zabo-bonnym podziwem patrzył, jak ten odgaduje coś z trze-szczących stronic wielokrotnie złożonej mapy.

Albo z rozkazem wracał na linię, spotykając po drodze rannych, którzy się wlekli, kuśtykając, popielaci od bólu, — w tej chwili, w tym huk, szanowni i niepotrzebni.

Minęła bitwa, nastał spoczynek, jedzenie, spanie i słońce. I znów bitwa. Żyli się z komendantem do tego stopnia, że nie mogli się obejść bez siebie. Komendant myślał i pi-sał, a Felek pośpiechem i szybkością tej myśli był, niosąc rozkaz i meldunek — do ognia.

Aż pewnego razu, już w zimie, coś go tknęło, gdy się za-patrzył na całą tę wojnę w dolinie, z góry wracając z mel-dunkiem.

W mgle sinej wyblyskiwały straszliwe jęzory wystrzałów armatnich. Daleko, na horyzoncie, niby krwawiące serca, gasły zapalone chałupy, dym się snuł, a ogień karabinowy cichł zwolna.

Słusznie go tknęło, bo spotkał na drodze swego kome-danta. Szedł sobie komendant z głową w bok przechy-loną, bez czapki, palcami jednej ręki rwał i skubał powie-trze, drugą rękę niósł mu żołnierz, białą-siną, błyszczącymi niemi krwi przez dłoń związaną.

— No, widzisz Felek, teraz się rozstaniemy — rzekł ko-mendant — a usta mu się rozwarły tak powoli, jakby cały las wstrzymał od tego dech swój.

— Bo mnie przy was nie było, komendancie!!

— Tak, tak — szeptał komendant z uśmiechem — bo cie-bie przy mnie było.

Poszli razem tą jedyną drogą rannego, wśród strzałów bólu i żalu i głębokiego honoru milczenia, ostrożni i od-ważni.... Komendant kapiący krwią po mchu i ordynans, siejący po zwiędłych gałęziach łyzy obfite.

U doktora był tłok.

Jedni leżeli, drudzy siedzieli, sycząc co chwilę. Każdy prosił o papierosy, których nikt nie miał.

Zrobiono miejsce, jako że to ranny komendant batalionu. Ramię miał rozwalone. Nie wiedzieć, jak się trzymać mogło. Z ramienia tyle krwi wypłynęło, że się Felkowi pusto w piersiach zrobiło.

Wziął doktorską kartkę o komendancie, jako że — kto, gdzie ranny, gdzie jedzie — i poszedł szukać fury osobnej. Odwiezie komendanta, osobno, on sam.

Od chałupy do chałupy biegł — z niczem. Zaczepił o jakąś kolumnę taborów, tu z wozu jednego zrzucił wszystko chciał, batami mu pogrozili, on bagnetem, aż gdy wrócił z powrotem do doktora — komendanta tam już nie było. Którędy poszły wozy z rannymi?!

Coś wymiarkował i poszedł lasem, polem, zboczami.... Wiatr dał ukośny, promienie księżyca giał, a Felek grzął w błocie i popędzał samego siebie, by dognać komendanta.

Pożary wciąż jeszcze gasły, gdzieś na przodzie huknęła palba karabinowa. Widać się zmylił, bo ogień był coraz gęstszy, kule bzykały koło uszu, jak ciężkie, ostre komary.

Zawrócił tedy przemarznięty, ze stopami oblepionymi gliną. Zimna wichura piszcziała w czarnych krzakach, żal ogromny ciążył w zbolałym sercu.

Nadjechały tabory jakieś z ludźmi uśniętymi na kozłach. Konie parły pod górę, prężąc zady, drepcząc na miejscu, jak muchy w ulepie. Mimochodem skradł biały koc dla komendanta biednego, „taborcy“ dali mu czekolady i poszedł dalej.

Gdzieś już chyba nad ranem doszedł do drugiego miejsca opatrunkowego. W starym było pałacu, a wozy do niego zjeżdżały ze wszystkich dróg, pełne jęku i skrzypienia i trzasku, jakby to nie drzewo i nie osie trzeszczały a ludzkie kości.



MAJOR TROJANOWSKI.

Felek pokazał kartkę i przepuszczono go do pokojów, nasyconych słodkim, gryzącym zapachem leków i krwi.

Tu znajdzie komendanta....

Szedł na palcach między białymi kocami, pod którymi leżeli ranni na podłodze, wysoko stąpając, niby skoczybruzda wśród skib. Straszno mu było iść, bo ranni twarze mieli snem obrzękłe i zmordowane. A gdy zaświecał zapalkę, nie dowierzając światłu ściennej lampki, wzdrygali się, głośno jęcząc.

Wtedy drżenie szło daleko po białych kocach, które niczem marszczony kozuch, zlewały się w jedną całość.

Poszedł na I. piętro.

Właśnie taszczyli kogoś po schodach sanitaryusze.

Może komendanta? I....

Widać było schylonych ludzi, doktora, dwie gały latarek elektrycznych, a w pośrodku żółtą, woskową twarz.

To nie był on.

Poszedł szukać dalej, tak jak się szuka na wojnie, to jest, kierując się za traktem wozów, za jęklwym szlakiem rannych, lecz głównie węchem i przypadkiem.

Od Czecha, sanitaryusza, wydobył cały szereg nazw miejscowości, gdzie mogli być odwiezieni nasi ranni.

Powtarzał je na pamięć i doszedł wreszcie do większego etapu. Miasteczko to było opuszczone, rozbite, z połamanymi wozami na placach, z krzyżami mogił w rowach. Z okien parterowych domków wyglądały łby koni, w rynsztokach leżało mnóstwo pudełek od konserw, na drzwiach, niby znaki tajemnicze, bielily się wielojęzyczne napisy przeróżnych oddziałów wojsk, które tędy maszerowały.

Ruch w mieście, ledwie opuszczonem przez Rosyan, dopiero się budził, a zaczynali go, niby pierwsze węzły tkaniny, pojedynczy żydkowie, z towarem na plecach idący po rozwalonej drodze.

Felek uczeplił się furgonu i późną nocą, na kość zmarznięty, dojechał do pierwszej stacyi kolejowej.

Przybył zapóźno. Pociągi już odeszły. Na stacyi czekały tylko dwa wagony I. klasy ze sztabem.

Tu też znać było wojnę. Szczególna ostrożność cechowała każde poruszenie się na szynach, każdy zaś gwizd lokomotywy szybko się urywał, jakby przerażony własną śmiałością. — Muszę jechać, mam przydzielenie — tłómaczył Felek naczelnikowi stacyi, który go nie chciał wpuścić do wagonu. — Pociąg już rusza.

— Mam przydzielenie! — Felek odepchnął naczelnika stacyi i przytrzymując na plecach swój kawaleryjski mały karabinek, skoczył na stopnie.

Pociąg ruszał ostrożnie, delikatnie, rzeczywiście, jakby sunął po drodze nigdy nieprzewidzianego podstępu.

W korytarzach wagonu spali ordynansi. Wlokąc kradziony swój koc po ich głowach, Felek odepchnął jakieś drzwi przedziału, zamknął je i — bezpieczny przed pogonią naczelnika — wymacawszy, że na siedzeniach śpią jacyś oficerowie, położył się w środku, na podłodze przedziału.

Ledwo zdążył pomyśleć o swym komendancie, gdy sen go zdjął głęboki.

Dzień już był. Pociąg wciąż ostrożnie sunął wśród usniętych, bladych pól.

Felek obudził się, czując na sobie czyjeś mocne spojrzenie. Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą siwą głowę, czerwoną twarz, złoty kołnierz i wyciągnięte ręce.

Jenerał!! — Felek poznał po kołnierzu.

Jenerał chylił się nad nim i coś po niemiecku głośno krzycząc, rozpytywał.

Tedy zerwał się Felek, na „baczność“ obcasami stuknął i głośno, surowo całą swą historię zameldował.

Na to obudził się drugi jenerał i powstało jeszcze większe zamieszanie. Zawołali innych oficerów, bo nikt nie mógł Felka zrozumieć. Jasno się zrobiło w przedziale od złota, gwiazdek i błyszczących guzików. Nareszcie dogadali się dzięki porucznikowi od ułanów, Polakowi.

Pochwalili Felka, dostał cukierków, śniadanie, jakąś kartkę, a co najważniejsze, dowiedział się, że ranni nasi zapewne wysłani zostali do X.

Jakim cudem, pożegnawszy uprzejmie sztab, dostał się tam Felek po całym tygodniu, tego niktby, prócz niego, nie zrozumiał.

Cudem prostoty i śmiałości. Bez marszruty, z kartką wystawioną w polu na ranę komendanta, klócąc się, podłaząc pod balaski stacyjne, kręcąc się między wagonami, jechał coraz dalej, zmartwiony śmiertelnie i niemożliwie najejzony, bo nie omijał ani jednej okazji, gdzie były siostry dyżurne z kielbaskami i herbatą.

Kartkę na ranę komendanta uważał za glejt, który mu musi otworzyć wszystkie drzwi, ułatwić wszystkie przejścia, zapchane więznymi we wszystkich drzwiach żołnierzami. Gdy chciano mu odebrać karabin, albo prowadzić do spisywania protokołu, pokazywał tę kartkę i nawet nie czekając, jaki wywrze skutek, zawracał na pięcie.

W X... miał o tyle ułatwione wszystko, że nikt go tu nie rozumiał, ale też i on nikogo rozumieć nie mógł, a więc i nie potrzebował.

Rozpoczął wędrówkę po szpitalach na własną rękę, długimi, nieznanymi ulicami, pierwszy raz w życiu patrząc na ulizany bruk wielkiego miasta i jego wydęte budowle. Obrażało tu Felka wszystko do głębi i ruch i hałas i piękne sklepy. Szedł od szpitala do szpitala, nie słuchając nawoływań, obojętny na słodką łaskę siostr miłosierdzia, powodowany trafnym chłopskim węchem. Brudny, obłożony jeszcze z bitwy, w podkutych butach, z karabinem, który wadził o wszystkie progi, pchał się Felek od kancelaryi do kancelaryi — bezskutecznie.

To tu, to tu... — mówiło mu przecucie i spocony, zziębnięty, robiąc łokciami, pchał się naprzód — lecz znów nie tu... Tu, tu napewno... Felek zawadził o dwóch żołnierzach, ale nie potrzebował z nimi gadać, bo sam był żołnierzem.

Zaraz zobaczy wśród pokotu zharatanych ludzi srogą, kochaną twarz, którą raz pierwszy ujrzał przy dróg skrzyżowaniu pod lasem, swego komendanta....

„Jeśli się zbłąznisz, my wszyscy.... Legion!”

Oni wszyscy — Legion!

Opowie mu zaraz koniec bitwy, bo przecie komendant nie wie jak się skończyło! — Z radością, z dumą, jakby mu niósł wszystek kurz, wszystką krew walki, szedł na salę.

Zawróciły go siostry, zdybał doktor. Znów się zaczęły pertraktacje. Felek pokazał kartkę na ranę komendanta.

Doktor przyjrzał się jej uważnie, ruszył skórą na czaszce i uszami, oddał ją młodszemu — a światło elektryczne błyszczało na białych ścianach jak miód — młodszy poszukał w książkach, kiwnął głową i oddał kartkę powoli Felkowi.

Felek zdrętwiał. Jeszcze mówiono do niego i poznał nagle po głosie gładkim i równym, który żołnierze rozumieją tylko...

Że z głosu tego wykreślone jest życie....

Jak wtedy, pierwszy raz w miasteczku, przed swoim komendantem, stał teraz wyprężony przed śmiercią jego.... Z pod powiek Felka, przybitych ciężarem wiadomości, płynęły ogromne łzy.

Wydziwiali nad nim, głaskali po głowie, dziwili się, że taki mały polski Legionista aż tu zajechał. Zjadł z nimi wspólnie obiad, chcieli zatrzymać w mieście i w szpitalu, ale on nie chciał, tylko chciał wrócić do pułku, a przedtem być na cmentarzu.

Zawieźli go tam dorózką.

Gdy się znalazł na tym grobie i gdy już, żeby Siostra nie myślała, udał, że napis odczytał, — zadumał się i zdziwił ogromnie rzeczy jakiejś nieznanej a wielkiej. W końcu ręce obie oparł na tej ziemi, z myślą, że komendant je czuje.... Potem zdjął z czapki białego orzełka i wsadził go w ziemię, tam, gdzie powinna być głowa, aby na tym orzełku leżała....



PORUCZNIK SKOTNICKI (GRZMOT),

Dlaczego wracał do pułku? Już nie dlatego, żeby się bić i nie dlatego, by być ordynansem, bo komuż?.... A tylko tak, jak się wraca do pułku, bo żyć bez niego nie można i tam się tylko być musi, a już nigdzie indziej nie — tylko tam....

Właśnie gdy przybył z powrotem, pułk ruszał naprzód. Orkiestra grała na drodze, mieszkańcy żegnali szeregi na chodnikach, a wojsko szło na wiatr, w dal....

Czasem tylko żołnierz w pożegnaniu rękę za siebie do dziewczyny wyciągnął, jakby ją chciał razem z jej domem, ciepłem i miasteczkiem, ze sobą wziąć w te pola śnieżne i miejsca nieznane....

Łącząc od szeregu do szeregu, przekonał się Felek, że wszyscy już o nim wiedzą, jak pojechał za swoim komendantem. Było mu wszystko jedno i żał jeszcze większy, że znów idą krokiem równym, zgodnym, przymrużonemi oczyma i z otwartymi od śpiewu ustami:

Na bok wisielcy,
Bo idą strzelcy,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Stał samotny, jak ta figura przy drodze rozstajnej, bolejący, bezradny i nieruchomy.

Oddziały przeszły, nie miał się gdzie zameldować. Dopiero, za kolumną, w plebanii, zobaczył, że luzuje się jakaś warta. Pójdzie się zameldować komu bądź i niech robią, co chcą. Wszedł do pokoju i ledwie zdążył trzasnąć piętami na „baczność“, gdy cały zeszytniał z osłupienia.

Naprzeciw niego, oko w oko, siedział komendant Piłsudski z wąsem, jak srogi wujek, z oczyma, w które nie śmiał Felek spojrzeć, takie były niebieskie i mądre.

Reszta oficerów pakowała jakieś papiery.

— A co? — spytał sam Piłsudski.

W Felku zamarło wszystko.

— Melduję posłusznie, że mój komendant został ranny, a potem go zgubiłem i umarł.

— A któż gubi swego komendanta?

Felek patrzył na Brygadiera, jak siedzi z łaskawie opuszczonemi rękoma, zafrasowany, groźny i dobry.

— Kiedyście wrócili?

— Dziś rano.

— Czy meldowaliście się w naszym batalionie?

— Nie....

Krzaczaste brwi Piłsudskiego ściągnęły się i wzrok stał się twardy, jakby uderzyć chciał: — A cóż wy jesteście za żołnierz? — Wtedy uprzytomniły się Felkowi słowa umarłego komendanta:

Oni wszyscy.... Legion!....

Stanął w płomieniach żarliwego wstydu....

— Więc czegoż odemnie chcecie?....

Huknął w obcasy — podług rozkazu — zakwilił ostrym dyszkantem i gdy Brygadier krył pod wąsem uśmiech pięknego zakłopotania, Felek pędził za kolumną, do batalionu, przejęty wielkiem gorącem ważnej świeżo zrozumianej Służby....



ARTYLERZYŃCI I. BRYGADY.

TREBACZ ZE STANISŁAWOWA.

Czarne podwoje — heban, chmura i kir.... Wrota nieme i zimny próg.... Przystąpić nikt się nie kwapi, zaś po tamtej stronie stanąwszy nie zazdrości nikomu niczego, a sam urasta olbrzymi — wieczny....

Pierwszy we wrota te wjechał, pierwszy w nich konno stanął trębacz młodziutki.... Droga przed nim nieznana i niewiadoma kolej — heban, chmura i kir....

Czy jeszcze pamiętacie pierwszego naszego zabitego — trębacza ze Stanisławowa?... I że mu nie danem było dożyć wszelakich bojów naszych i że mu nie danem było nikogo żałować i silnego soku wojny kosztować i do syta pić chwały z piołunem?...

Że mu nie danem było nic więcej wiedzieć, jak tylko żeśmy ruszyli na gwałt! Żeśmy się sinym obłokiem przetoczyli po białej wstędze drogi kieleckiej....

A gdybyśmy w trzystu z Kielc szli pierwszy raz w życiu ogniem armatnim witani, zaś po raz setny i niezliczony w Polsce przeważającą zaskoczeni przemocą — czy wiecie?...

Nie zakosztował pięknych zbratań koleżeństwa, nie uświadczyl hucznej włości wojennej i pasyi cofania się i radości ataku....

Szrapnel oberwał młodą głowę i nic więcej nie mogli zmieścić te źrenice nieletnie, jak tylko pierwszą zorzę walki — najdroższego szczęścia na świecie zaledwie uśmiech najpierwszy....

Możnaby w liście Brygady zobaczyć, jak się ów trębacz nazywał i podać nazwisko powszechnej pamięci. Jednak młody chłopaczek, a pierwszy pod czarnym łukiem śmierci

jeździec i gość wybaczy mi, że nie streszczę tej rzeczy w nazwisku samem.

Bo życie się w tej śmierci pierwszej przenośnie rozrosło:

Pierwszy padł złoty głos Szeregu.

Trąbkę — złoty róg świeżą ogrzany wargą, śmierć zmiotła pierwszym zamachem, — a walka właśnie trwa dalej!

Herold na błoni padł, a świetny szereg, jak miał walczyć tak walczył!...

Więc jak wojnie przystało i ludziom jej i rzeczom —: Nikt cię nie żegna młody trębacz, — bądź zdrow, — odjeżdżaj za wrota coraz dalej i dalej, a z tobą.... A z zorzą twych oczu, z cudownym żalem niedoczekanych rzeczy — oni.... My.... Ci z nas, którzy....

Dziś oni — jutro my....

Nie wymienić-że wszystkich ich — jak nie przeliczyć wszystkich kwiatów łąki, nie dojrzeć wszystkiego srebra fali w słońcu i nie doznać wszystkich radości w życiu.... Będę pisać o tych, których znałem blisko, a nie o tych, których nie znałem, taksamo jak radość mi daje tu godzina poranna, choć i wszędzie indziej godziny poranne są radosne....

Eugeniusz Medyński zginął w świetnym szturmie VI batalionu Fleszara, w bitwie pod Krzywopłotami.

Mówiono, że śpiewał, biegnąc do ataku „Jeszcze jeden mazur dzisiaj....“ opowiadano, że konając, rażony w serce, powierzał komuś list do narzeczonej....

Trudno wiedzieć dokładnie, bo któryż pola walki świadek ma czas zapamiętywania szczegółów?... Kto może pamiętać, jak leżał tam, jak się z szarego pola dźwigał młody podporucznik, w mundurze krwawym, rozchełstany na pierśsiach. I wzrokiem towarzyszy naprzód biegnących żegnając — czy podawał komuś list. Byłoby to najzupełniej w stylu jego postaci romantycznej.

Całe życie tego porucznika, brunecika o zielonkawych oczach z czarną bródką tak się właśnie układało....

On, kresowiec, syn ubogiego szewca — na barykadach Odessy.... On — później na gruzach marzeń, poszukiwany przez policję, goniony — a łódką jeżdżący do księżyca po srebrnych falach Czarnego Morza.... On — jeden z pierwszych — na szkole Strzelca — wówczas towarzystwa sportowego.... Przez jakąś pomyłkę wygnany z granic monarchii.... Dwukrotny wygnaniec — w Belgii....

Tam znów, bez centa, bez grosza siłą na zamiary budujący swe wykształcenie. Na to trzeba było umieć nie jeść, nie pić, nie mieszkwać....

Ale cóż Medyński — Piłsudczyk! — Człowiek wierny przysiędze, kochający ogień i walkę jako jedyne oczyszczenie Ojczyzny.

Czego tam nie było w tych skrytkach i szufladach brukselskiej mansardy Medyńskiego! Proch, piroksylin, dynamit — ostrożnie otwierajcie, bójcie się Boga!

To znów — nie ruszać, tego nie można....

Było tam w tych szufladach w proszkach utajone marzenie gniewu i walki.... — broń pieszczona....

Medyński miał ów największy honor Piłsudczyka —: Prowadził wojnę, żył w jej pogotowiu na długo przed jej jawnym wybuchem. Całe tygodnie, jesienią nocował w Bois de la Cambre, w lesie, by się hartować do niewygód wojennego rzemiosła. Podczas letnich miesięcy wykonywał z ćwiczoną przez siebie w Belgii oddziałem marsze forsozne, uprawiał się ustawicznie w strzelaniu, czytał bardzo wiele z zakresu literatury wojskowej. Było wówczas dziwne, a obecnie szanowne jest i wielkie, że wierzył w rychły kres swego życia.... Szybki i gwałtowny koniec jego przeczuwając, gromadził zasoby umiejętności i pracy, jakby miał nie jedną, lecz cztery egzystencje do rozporządzenia.

Kolegą Medyńskiego z Belgii był Władysław Brzózka (pseudonim Hańcza). Komik, hałaburda, agronom, handlowiec, oponent wieczny, partyjnik, dziennikarz, tołstojowiec, fantasta, emigrant.

Był zawsze przeciw nam, gardził powstaniem i wojskowem do niego przygotowaniem, a uznawał jedynie „leworucę”. Bo na domiar wszystkiego wymawiał „r” zamiast „ł” i naodwrot.

— Nie żalże wam Brzózka do dyabła — pytałem go kiedyś poufnie po jakimś nieskończeniu zawiłem zgromadzeniu w Antwerpii, — boście pewno krewny, czy powinowaty księdza Brzózki z powstania??...

— A tak, ploszę pana — klewny, klewny. Jestem ostatni z rodu Brzózków, na mnie się kończy wszystko....

Nie wyglądał na człowieka, na którym wszystko ma się kończyć.

Głowa, jak wystrugana z drzewa na jarmark dla dzieci, z wypukłemi, jakby, twardemi oczyma. Duże usta, rumiane policzki, [duże błyszczące czoło, łysy i zawadyaka i gaduła — i mistyk....

Śmierć Tołstoja obchodził tygodniowem umartwieniem, pijąc czarną kawę i nago siedząc przed wygasłym piecem.

— Czyście zwaryowali Brzózka?...

— Nie zwałyowałem kochani, wielki człowiek umarł — tłudna łada. Choć pokróciłem się z nim swego czasu.

— Z kim?

— Z Torstojem.

— Wyście go znali?

— Zachciało się go poznać, siadrem na pociąg i zlobione — panie.

— O cóżeście się pokłócili?

— I naga darem mu nawet, panie. — O spławę polską. Siła złego na jednego....

Tem niemniej, kiedy już wojna wybuchła, kiedy Strzelec już wyruszał, Brzózka wciąż jeszcze marzył o „lewolucyi”.

— Marynarze, panie, w Kronstadsie oberwali „flak” Poincalemu, panie!

Marzył hucznie, kłótliwie, „grošno”, aż pewnego rana spotkałem go zakurzonego, spoconego, jak wracał z Błoi

w strzeleckim mundurze i z fajką w zębach, bo naturalnie musiał być sobie jako żołnierz odrazu kupić fajkę.

— Bójcie się Boga Brzózka, czyście się wściekli?....

— A „wściekrem” się!

— Wy u nas?

— Jeszcze tylko rzeczy swoje zawinę, panie kochany, i oddam gospodyni. Jak wrócę, po wojnie będą ręczniki i koszula jak znalazł! Dziś wyruszam...

Ledwo doszedł w oddziale do Miechowa. Nie mógł iść dalej. Pamiętam go tam w fabryce monopolu.

Jaka to była radość — spoczywać w tej rozbitej fabryce wódki rosyjskiej, rosyjskiego zła, nieszczęścia i bezprawia, stamtąd iść dalej, tam na mialach pokruszonego szkła front formować!

Dzień był gorący. Brzózka razem z innymi leżał pokotem na słomie, przykryty mokrą szmatą, w wielkiej gorączce nieprzytomny ze znużenia. W strugach słonecznego światła pod szybkim oddechem Brzózki szmata drżała, jak pomięty liść złotego ogromnego łopucha.

Było w tem i w tej chwili coś ponad wszelką miarę czułego, coś z bajki, czy jak ze snu „Nocy letniej” ten Brzózka gaduła, z fają w rękę, o twarzy prostodusznego chłopca, a oczach dziecka, na tej srogiej wyprawy progach zaledwie — już tak złamany....

Odprawiano go wtedy do lekkiej służby, do świadczeń. Nie chciał. Przechorował się i wrócił do pułku.

Powtarzało się to dużo razy. Chorował i znów wracał coraz słabszy, bardziej wyczerpany, ale trwał w szeregu.

Szła razem z wojną ciężka jesień. Brzózka opuścił się już był zupełnie, wszy go naturalnie oblaży, stał się pośmiewiskiem silniejszych kolegów, sam pełen dzikiej rozpacz i niecierpliwości na słabowistość swą, pracujący nad siłą, a poniżej wszelkiego rezultatu, lecz pomimo wszystko wierny — wierny walce....

Aż pod Budami Michałowskiemi zginął na odpoczynku

w chałupie na słomie i — jak akurat sam był powiedział przed chwilą — ostatniego paląc papierosa. Dopiero kiedy zginął, zrozumiano, ile miłości ubył z tym człowiekiem....

Nie przydadzą mu się już ręczniki i czysta koszula, które zostawił sobie w Krakowie na po wojnie.

Ostatni z Brzózków, — panie kochany, — nieprzejednany wróg Medyńskiego — obaj idą zgodnie w orszaku, minęli już podwoje....

Protokoły burzliwych zgromadzeń z Antwerpii obaj dziś krwią podpisali....

Heban wrót w słońcu się lśni, kir powiewa, młody trębacz jedzie przodem, złotem graniem szeregi prowadzi....

Tylko choć jesteś ostatnim z rodu Brzózków, nie kończy się na tobie wszystko.

Kapitan Kuba-Bojarski zginął pod Łowczówkiem.

Rzecz bolesna, że nie miał żadnych przeczuć, urządził się w wojsku i gospodarował, jakby ta wojna miała trwać wiecznie....

Choć widziałem w jego notesie jedną kartkę, która mnie przestraszyła. Gdzieś z boku między rachunkami batalionu napisane: Przyjazd mamy....

Po cóż ta prosta słodycz tutaj — pomyślałem — jak pokuszenie Losu, jak wyzwanie?...

Nikt tak, jak Kuba-Bojarski, przez Brygadyera Piłsudskiego Kubusiem zwany — nie umiał wydać kolumnie komendy — maszerować! Gdy ta kolumna po długim, forsownym marszu zamiast na miejsce spoczynku przyszła na zgłiszczą.

Tyle było w tej komendzie serdeczności i powagi.... Zdało się pocziwie celebrować — a nie rozkazy wydaje.

Z pozoru był Kuba-Bojarski uosobieniem miłej przeciętności.... Regularna twarz, niskie, niepojętne czoło, czarne zmyślne i nieduże oczy, rumiane policzki i słodkawo wykrojone usta. A jednak był srogim, wypróbowanym żołnierzem, wojnę krwawą prowadził z sołdatem rosyj-

skim od czternastego roku życia — na wiele lat przed wojną....

Komendantem batalionu (pierwszego, I pułku I Brygady) był mianowany — i był z tego dumny — na placu boju. Przy całej swej powadze lubił naiwnie wszelką zewnętrżność wojskowego stanu. Opięty był zawsze chrzęszczącymi rzemieniami, osobliwą i bogatą miał szablę, najstaranniej naszyte odznaki, zaś najbardziej podobały mu się sznury srebrne.

Że zginie, dowiedziałem się, gdyśmy stojąc w górach w bitwie pod Limanową otrzymali cały jakiś transport z etapu.

A w tym transporcie właśnie sznury i bluzy ułańskie....

Kto nie był w polu długo, ten nie wie, co znaczy przybycie takiego transportu.... To znaczy — że skarby Sezama przyjechały i cała Europa i wytworna czułość cywilizowanego świata — i ponętny, niedościgły wdzięk kultury....

— A ta bluzka to mi się przyda — mówił kapitan Kuba, wyciągnąwszy ją z tłumoka i niosąc w promień słońca, który zwartym prostokątem spadał z okna chałupy na klepisko.

— Komendancie, gdzieżbyście wy chodzili w takiej bluzce, ułanka austriacka do piechoty — ale mnieby się przydała — prosił konny ordynans batalionu.

— No widzicie — kiedy mi szkoda tych złotych sznurów — odpowiedział Bojarski — z dziecinną radością i gustem na nie patrząc. — Później będę sobie je nosić....

Zerwałem się na barłogu. — Później ich nosić nie będziesz — och nie.... — przemknęło mi przez myśl....

Ze śnieżnych gór, z czarnych srebrzystych lasów waliło słońce złomami opalu przez okno. Kuba stał na środku izby i wysoko trzymając ułankę śmiał się do niej i do złości jej, naiwnie, szczerze, tak radośnie, jak się ludzie śmieją do wzniesionego kielicha, gdy zdrowie nim wznoszą...

Zaś mnie śmierć tętniła w uszach czarnym apelem, nie w porę i okrutna....

Śmierć jeszcze straszniej. nie w porę — to koniec porucznika Milki.

— Ach ta nowoczesna wojna — zwykł był żartować, gdyśmy się na zajętych pozycjach nie mogli nieprzyjaciela doczekać — ta nowoczesna wojna!.... Ten straszny huk (najsłodsza cisza leżała na polach) tak mnie denerwuje!.... Proszę cię — podsuwał szarlotkę, czy inny jakiś cud świetnej swej gospodarki kompanijnej, jedźmy szarlotkę, bo nie sposób.... Ta nowoczesna wojna!....

Jadło się u Milki tak, jak nigdzie, spało się, jak nigdzie, śmiało się, jak nigdzie, a bito się wyborowo.... Nadzwyczajny ten oficer miał poza bitwą dar przekształcania wojny w sielankę, w piękną wycieczkę krajoznawczą, której humorem i najweselszym ruchem był on sam....

Jego śmierć nagle (rażony w głowę szrapnelem) wywołała krzyk w szeregach. Ludzie wołali głośno, jakby samym sobie nie wierząc: Komendant Milko zabity! Zabity!

Przyznam się, że ta śmierć była tak dotkliwa, iż mogła była zdemoralizować oddział, — jak Indian, czy dzikich demoralizuje śmierć dowódcy.

Wracałem z pozycji, na której Milko padł, już nie chcąc się bić, ani atakować, ani uciekać. Tylko odejść stąd precz, zostawić to wszystko, i skoro padają tak mili ludzie, zabrać się stąd, iść gdzieindziej, zostawić to wszystko.... Taka odraza, taka niechęć rozrastała się we mnie, żem stępo, bez celu, jechał pustą szosą, a szrapnele prały po niej, trzeszcząc w powietrzu rozlatującymi się garściami żelaza.

W parę godzin później spotkałem na wozie ordynansa Milki, Jaśkiewicza.

— Wy też jesteście ranni, Jaśkiewicz?

— Ta gdzie ja ranny — mówił przez łyzy — ale ja jeszcze nigdy w życiu tak nie płakał.... Komendant Milko zabity.... Ja już nie mogę....

Nie mogę, nie mogę — odpowiedzą daleko gdzieś w domu najbliżsi, w grubej żałobie, rozpierzchający w zmrokach

pokoju, jakby cały świat mrokiem był i żałobą. — Twarda, chwalebna pociecha żołnierska do serc ich nie trafi, — że rozkaz — że męstwo — że Ojczyzna....

Ja już nie mogę, nie mogę — skarżą się ociężałe z bólu usta....

Słowa się poplączą — urwą....

Cisza rozdzieli nieprzebyta....

Tylko my, żołnierze, wiemy, że nie czas, nie pora po temu....

Ten kwiat, co tryska z ziemi — bo wiosna idzie — ten kwiat, to źdźbło, ta trawa, co tryska z ziemi być może wystrzela z rozbitego serca towarzysza....

Lecz z krzykiem wojny pójdziem naprzód depcząc te kwiaty!.... Te kwiaty, te źdźbła, te trawy, — depcząc wszystko....

Wszystko się zaczyna mój Brzózka, nic się nie kończy....

Czarny łuk błyszczy w słońcu, kir wiąże się w lekkie uśmiechy.... Młody trębacz nieznany jedzie przodem, a za nim orszak liczny....

I idą, odjeżdżają, murawy im już nie stają, w dalekości są, we mgle — we wspomnieniu.... Murawy im już nie stają — oni sami — murawa....

Dziś oni, jutro my, więc nikt cię nie żegna Trębacz. Jedź przez wrota, dalej i dalej prowadź swą drużynę, a my pójdziemy naszą drogą, nie patrząc, czy depczemy kwiat, co w wiosnie tej z rozbitych serc zakwita....

SŁOMA.

SZEREGOWCOM I. LEGIONU.

Słomo, słomo rodzona — zdrowe, kochane zboże Ojczyzny!

Wąsiku zielony, radosny puchu wzgórz i pól — dumo kłosów wyprostowanych — wygięty, pyszny łuku łąnów urodzajnych, piękny ukłonie zasobności — i szumie, szumie cudowny!...

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i chwast, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny!...

Słomo, słomo rodzona, opieko, ponęto żołnierza.... Sprężysta słodyczy jego snu, kłopotcie jego i radości, dobra nakrywo znużonych członków, szeleszczący śmiechu przebudzenia, doradczy szmerze powstań na alarmy....

Ty złoto chrupkie, łomkie, tak czyste, a tak dostępne, ojcowskie, matczyne, gospodarskie.... Ty dobre, zacne słońce, w kłosikach zimujące, ty — żaru promienie przechowane w stodole — zimowy śnie zgasłego lata, poskładany, powiązany serdecznie — do lata....

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i chwast, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny....

Och, słomo, którą ujmuje się, szeroko rozwarłszy ramiona, jakby się brało całą rodzinę w objęcia!...

W nocy.... Gdy żołnierze czekają na cię, śpiąc nad stołem, drzemiąc nad łyżką, a z pod obrazów, z matczynego łóżka, patrzą na nich dzieci i drżą, gdy żołnierz wali z siebie żelazo, broń, rzemienie, pasy i cały ten ciężar wojenny. Gdy siedzą zmartwieni, że cię niema, gorący od trudów walki, a tak senni....

Już szumisz.... Szumisz, jak złote blaszki wachlarza wscho-



MAJOR NORWID.

dniego obrządku. Otwarły się drzwi, szal mgły i mrozu
wzdął się na progu izby. Noc się w drzwiach ukazała, od
śniegów biała na ziemi, czarna na niebie, uroczystością
gwiazd nizana.... Z tej nocy niosą cię na ramionach i przy-
bywasz, słońce lata, w łomkich promieniach przechowane
w stodole, — krótki, wonny warkoczu....

Słomo, którą się rzuca na klepisko, iż spływasz z powró-
sła, — jak z przechylonej konwi wino w Kanie galilejskiej,
snopem złocistym, strugą szemrzącą....

Utonie w tobie trud żołnierza, potoną srogie dolegliwości
odbitego na wojnie ciała. Gorąco skroni tętniących usta-
tkujesz twem ciepłem. Wsuniesz się między palce obrzękłe,
słomka za słomką, niby ziarnka różańca pokoju.... A to,
żeś jest, żeś jest świeża i czysta, tchnie niebem błękitnem
pod spieczoną powieką żołnierza i w niebie tem, jak mgłą,
rozplynie się pamięć śmierci, jak tęcza zakwitnie słodycz
nadziei.... A to, żeś jest taka świeża i szumiąca, wygna
z uszu żołnierzy srogie echa wystrzałów, szumem i szmerem
napełni ich słuch....

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i chwast, pożytek i szcze-
ście — szumie, szumie cudowny....

Zdrowe, kochane zboże, słomo, słomo rodzona!.... Pod
ciemnym dachem chałupy, kosmatym i zgiętym, jak grzyb,
między czterema ścianami, białemi, jak opłatki, leżysz, ni-
czem suche, złote jeziorko światła, ty, — fala chrzęszcząca
i wonna, — jakby cię anioł możnemi garściami z chałupy
do chałupy na klepisko kładł....

Gdzież ciebie niema — jesteś wszędzie!.... Jak najśłodsza,
najwierniejsza kochanka, opleciesz mocnym, ciepłym war-
koczem zimne strzemiona ułana, by nie dźwiękły, gdy pę-
dzić będzie blisko swej śmierci o jeden krok....

I ty, bezradna słomo niziutkich dachów, którą na dalekiej,
zatrzaconej placówce wyszarpuje koń, jak kudły, czy czu-
prynę ze łba bezgranicznej jakiejś Dobroduszości!...

Ty zła słomo artyleryjskiej pozycji lub podstępного dołku,

w którym się tai nerwowa a nienasycona gardziel karabinu maszynowego.... Ty zła, ostra słomo, co sterczysz przed armatami, jak sztywna szczeń, drapiącą, nieogoloną brodą.... I ty!... Jasny, krótki strumieniu bez źródła i bez ujścia.... W twojej złotej fali stoi niebieski Legion, zanurzony aż po piersi.... Święta, przezacna słomo rowów strzeleckich!...

Nisko w ziemi rozwinięta, złota wstęgo obrony, którą spływa, którą haftuje i znaczy świeża krew rannych, którą do ziemi przytwierdzają trupy walecznych.... Ty prześwietna lamo wspaniała, tobą obszywa Legion swej ziemi cudny szmat raz na zawsze!... Ciebie tu, słomo, słyszy w huku wystrzałów, w łomocie gałęzi, w dygotach uwiędłego listowia, ciebie tu słyszy w wołaniu o pomoc i w wielkim krzyku śmierci, dobrą kumotkę żołnierza, jak ruchowi każdemu szepczesz i chętna się poddajesz.

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i plewy, walka i śmierć — ty szumie, szumie cudowny!...

A oto jesteś niepotrzebna! A oto nie słomą jesteś, lecz mierzwą obrzydłą i nic ci nie dam, prócz gniewu i pogardy!...

Jesteś słomą, w której się gnieździł i barłoczył mój wróg!... Wyrzuciłem go stąd nagłym ogniem.... Uciekł nad ranem, jak pies z nie swego legowiska, a ty leżysz zmięta, skopana, w różne strony roztrzęsiona, rzekłbyś nieprzytomna od hańby i poniżenia.... Runo twojej czystej fali oplwane jest tłuszczem jego strawy. Jego nienawistny wypoczynek odebrał ci wszystkie połyski.... Wiatr i uparte przeciągi gmerzą w tych zwojach i nie tknie cię nikt, bo cuchniesz służbą nikczemną....

A oto jesteś dobrotliwa.... Chodź, chodź — złotemi kometami pociechy uścielim cię na wozie dla rannych, na wozie poratunku. Chodź, podłożymy cię, byś pieczołowicie wymościła ciasną głąb gładkimi twemi pasmami. Teraz już sama myśl za siebie, wnikać między ludzi bolejących, przegradzaj ich ostrożnie i tul....

Bądź dobrą, stań się soczystą. Uszczknęły cię czarne, spalone gorączką wargi żołnierza, ktoś sobie kosmyk złoty do oczu tuli, ktoś inny przebiera palcami, — bądź skarbem, niech w skarbie toną palce Łazarza i drżysz i szumie, jak szumią najtkliwsze radości życia.

Kwiaty, kąkole, bławatki, radość i plewy, zdrowie i rany — ty szumie, szumie cudowny....

Inna nadejdzie i ta jest słomą świętą.... Leży równo na wozie, żdźbło wedle żdźbła, wszystkie wspólnie razem, stulone promienie gwiazdy strąconej.... Niech tu snop będzie makatą złotą, a puste kłosa niech się ułożą w kołnierż obszerny, suty.... Niech się to blasku bogactwo pasmami na drodze powolnej strzępi a ściele, bo jedzie wóz, co nie nawraca z tym, który padł — bo jadą wozy z tymi, którzy już nigdy nie wstaną....

Niech chrzest z nimi idzie rycerski — chrzest, jak stal, słomo rodzona.... Niech szum z nimi płynie posuwisty — szumie, jak Wieść umarłe zboże Ojczyzny....

Kwiaty, kąkole, bławatki, radość i plewy, życie i śmierć — ty szumie, szumie cudowny....

Taką cię słomo pożegnam, by cię jutro zobaczyć, ty droga, straszna, najlepsza, kiedy cię nasz ogień zapali w okopach nieprzyjaciela, ty rozkoszna!

Ty, która nagłymi płomieniami kipsisz w rowach wroga, jak krew, niby czerwony grzebień koguci, drżysz na horyzoncie, grzywą płomienia słaniasz się ku mnie.... A z grzywy tej w przerażeniu, w rozpacz, wylatują po dwóch, po trzech, całymi chmarami wrogowie nasi....

Trzaskajże wtedy, buchaj i łam się i szumie wichrem śmiertelnym....

Kwiaty, kąkole, bławatki, radość i plewy, tryumf i śmierć — ty szumie, szumie cudowny....



SPIS RZECZY.

Józef Piłsudski	1
Piłsudczycy	7
Sławek — kap. Śniadowski — kap. Brzoza	15
Sieroszewski — Dr Rouppert — Jur	19
Dr Kukiel — Grudziński — Fleszar	23
Doktorzy I. Brygady	27
Kolumna	31
Kawaleria I. Legionu	35
Przed wymarszem	39
Gospodarka I. Brygady I. Legionu	42
Kwatery	46
Bitwa pod Łowczówkiem	56
Lista strat	64
Okopy	69
Trzej sierżanci	75
Nasze listy	79
Imienniny komendanta	83
Nowy Rok w polu	89
Ordynans	93
Trębacz ze Stanisławowa	109
Słoma	118

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 313717



000-313717-00-0